NUMER ŚWIĄTECZNY.

Nr. 11 i 12. Kraków, listopad-grudzień 1906. Rok VII.



:: PISMO DLA KOBIET ::

wychodzi w połowie każdego miesiąca.

Prenumerata wynosi:

rocznie . . .	1 kor.	zagranicą . .	1 marka
półrocznie . .	70 hal.	pojedynczy numer	10 gr.

ADRES REDAKCYI: SZPITALNA 7, II P.

Kochani Czytelnicy i Czytelniczki!

Z powodów, niestety, nie zupełnie zależnych od naszej dobrej woli, nie mogliśmy, mimo najgorętszych chęci, przesłać Wam numeru listopadowego. Teraz więc razem z życzeniami świątecznemi załączamy go Wam przy grudniowym. Daj Boże, aby nasze obopólne chęci ziściły się! Tym wszystkim, którzy nam w tym czasie nadsyłali liczne korespondencye, świadczące, że tęsknią i nie mogą doczekać się „Przodownicy“, jesteśmy szczerze obowiązani za ich uznanie i wdzięczność. Pośród ciężkich okoliczności, w jakich pismo nasze wydawać musimy, jest nam to dowodem, że praca nasza nie idzie na marne, że siew nasz na wdzięczną pada rolę; przeto nie tracimy tej błogiej nadziei, że w dniu ogólnego dorobku, ogólnych zbiorów na polu zasług około podniesienia oświaty, a zwłaszcza około uświadomienia narodowego kobiety polskiej z ludu „Przodownica“ nasza, acz skromny, lecz wdzięczny ofiaruje wianuszek.

PIEŚŃ Z ROKU 1830.

Dalej bracia do bułata
Wszak nam dzisiaj tylko żyć,
Pokażemy, że Sarmata
Jeszcze umie wolnym być!

Długo spała Polska święta,
Długo orzeł biały spał —
Lecz się zbudził i pamięta,
Że on niegdyś wolność miał.

Śmiałem skrzydłem on poleci
Na szczęk broni i kul grad —
Za nim, za nim Polski dzieci!
Za nim, wiernie tylko w ślad!

Będziem rąbać, będziem siekać!
Jak nam miły Bóg i kraj,
Dalej, bracia! a nie zwlekać,
Z naszej Polski zrobim raj!

Już złodzieje i tyrany
Na piekielny poszli brzeg,
A Moskalom zaprzedany
Ziemię gryzie zdrajca, szpieg.

W szlachetnej młodości żyle
Staropolska płynie krew,
Ufność bracia w własnej sile,
A wolności wzrośnie krzew.

Wiwat gwardya narodowa!
Wojsko polskie tobie cześć!
Bądź gotowe, bądź gotowa
Za ojczyznę życie nieść!
Dalej bracia do bułata,
Wszak nam dzisiaj tylko żyć,
Pokażemy, że Sarmata
Jeszcze umie wolnym być!

Rajmund Suchodolski.

ROCZNICA LISTOPADOWA.

Dnia 29 listopada r. b. upłynęło 76 lat od chwili, w której wśród murów Warszawy rozpoczął się bój orężny o wolność i niepodległość Polski. O wiekopomnym tym boju pisaliśmy obszerniej w listopadowym zeszycie „Przodownicy", nr. 11, z roku 1905. Opowiedzieliśmy tam przyczyny i przebieg powstania 1830 i 1831 roku, będącego jednym z najpiękniejszych ustępów tej nieustającej walki, którą od stu lat przeszło naród polski toczy z ciemiężcami swoimi, a zarazem wspaniałą kartą męstwa i poświęcenia dziejów naszych.

Powstanie to rozpoczęło się faktem, któremu równego napróżnobyśmy szukali w historyi innych narodów.

Garstka mężnej młodzieży, nie mogąc patrzeć spokojnie na ucisk, jakiego naród doznawał, na gwałt zadawany jego prawom i dziki despotyzm carskiego brata, nawpół obłąkanego wielkiego księcia Konstantego, w dniu 29 listopada 1830 r. chwyta za oręż, uderza na wroga i cały naród wzywa do broni!

Wezwanie to nie pozostaje bez echa – potężny odzew odpowiada mu ze wszystkich krańców Polski — cały naród staje do apelu.

W Królestwie wojsko polskie, jak jeden mąż staje pod chorągwiami wolności; na Litwie i Rusi w braku wojska, obywatele cywilni zbroją się jak mogą i czekają spososobnej chwili uderzenia na wroga.

Szlachetny zapał ogarnia wszystkich uświadomionych, wszystkich wiedzących, co to jest Polska, wiedzących, że Polska, to wolność.

Mężczyźni się zbroją, kobiety spieszą do lazaretów, by nieść pomoc i opiekę tym, którzy odniosą rany za ojczyznę.

Kobiet takich w r. 1831 były tysiące — ale znalazły się inne, którym za mało było stać przy łożu ranionych, opatrywać ich, pielęgnować i łagodzić cierpienia. Znalazły się inne, które, nie bacząc na słabość płci swojej, zapragnęły z orężem w ręku, po rycersku służyć ojczyźnie.

Wśród tych mężnych bohaterek zasłynęły szczególnie: Marya Pruszyńska, Marya Raszanowiczówna, Antonina Tomaszewska, a w pierwszym rzędzie Emilia Plater.

Wszystkie te młode, piękne, bohaterskie dziewice, walczyły mężnie, lecz Emilia Plater odznaczyła się nie tylko jako żołnierz waleczny, ale zarazem jako zdolny wódz i oficer.

Urodzona w stolicy Litwy, Wilnie, w hrabskim domu Platerów, dnia 13 listopada 1806 roku, wychowała się nad brzegami Dźwiny, w Inflantach polskich, w domu swojej krewnej, wśród wygód i dostatków; przejęta jednak od wczesnej młodości miłością ojczyzny i wolności, przemyśliwała nad oswobodzeniem Polski, a wierząc, że oswobodzenie to tylko z orężem w dłoni da się osiągnąć, przygotowywała się do służenia Polsce, jako żołnierz. Dlatego jeździła konno, strzelała do celu, hartowała swe ciało, ćwiczyła siły, oddając się równocześnie naukom matematycznym. Otoczenie jej uważało to wszystko za fantazye bogatej panny, gdy tymczasem postępowanie jej miało cel wzniosły i szlachetny.

Na wieść o powstaniu 29 listopada 1830 r. Platerówna, w porozumieniu ze stryjecznym swoim bratem Cezarem, zaczęła gromadzić broń, proch, kule oraz zapewniać sobie ochotników do boju za wolność i ojczyznę.

Na Litwie i w Inflantach na początku roku 1831 pełno było moskiewskiego wojska, które ciągnęło do Królestwa; po wkroczeniu jednak Moskali za Bug i za Niemen, tylko mała ich część pozostała i nadeszła sposobna chwila do powstania. Pierwsza za broń chwyciła Żmudź. Powstańcy żmudzcy dnia 25 marca 1831 r. uderzyli na miasto Rosienie i wyparli z niego zwycięsko najezdników.

Zaledwo o tem rozpoczęciu powstania na Litwie doszła wiadomość do Emilii Plater, pospieszyła natychmiast w towarzystwie Maryi Pruszyńskiej do miasteczka Dusiaty i sformowawszy tutaj dnia 29 marca 1831 roku oddział powstańców, złożony z 280 strzelców, kilkuset kosynierów oraz kilkudziesięciu jeźdźców, ruszyła przeciw Moskalom.

Dusiaty leżą o sześć mil na zachód od rzeki Dźwiny, oraz od wznoszącej się na wschodnim prawym jej brzegu twierdzy Dynaburga. W Dynaburgu była naówczas moskiewska szkoła wojskowa, w której pełno uczyło się Polaków, a między nimi dwaj krewni Emilii. Polacy ci przejęci byli gorącą miłością ojczyzny i przemyśliwali nad tem, jakby za przykładem podchorążych warszawskich, którzy pierwsi pod wodzą Piotra Wysockiego dali hasło powstania, powstać w Dynaburgu i opanować tę potężną twierdzę na rzecz Polski; z radością więc przyjęli projekt Platerówny chwycenia za oręż wewnątrz twierdzy, gdy ona ze swoim oddziałem od zenątrz na Dynaburg uderzy.

W wykonaniu tego zamiaru, wyruszyła Emilia ze sformowanym w Dusiatach oddziałem ku Dynaburgowi. Dnia 2 kwietnia rozbiła w puch kompanię piechoty moskiewskiej, która oddziałowi jej zastąpiła drogę, a we dwa dni później odniosła zwycięstwo nad znacznemi siłami Moskali i zajęła Jeziorosy, położone o niecałe 3 mile od Dynaburga.

Po tem zwycięstwie, nie wiedząc, że Moskale uczniów szkoły wojskowej wysłali niespodziewanie do Królestwa na linię bojową, podstąpiła odważnie pod Dynaburg, lecz opadnięta przez przemagające siły nieprzyjacielskie, musiała cofnąć swój oddział i połączyć go z oddziałem brata swojego Cezara Platera.

Odtąd w towarzystwie Maryi Pruszyńskiej, oraz Maryi Raszanowiczówned walczyła mężnie w rozmaitych oddziałach powstańczych, aż w czerwcu doczekała się przybycia na Litwę regularnego wojska polskiego pod wodzą generałów Giełguda i Chłapowskiego.

Teraz zaczęto z powstańców formować regularne wojsko, a Emilia Plater została kapitanem pierwszej kompanii pierwszego na Litwie sformowanego pułku piechoty. Na jej czele walczyła mężnie i odznaczyła się w bitwach pod Kownem i Szawlami.

Niestety generałowie Giełgud i Chłapowski, nieźli jako podwładni, nie podołali obowiązkom samodzielnych wodzów, jakie na nich włożono, wojnę prowadzili niedołężnie, nie potrafili wyzyskać pomyślnych stosunków, które zastali na Litwie, i pozwolili Moskalom otoczyć się przeważającemi siłami na Żmudzi, przy granicy pruskiej. Podwładny ich generał Dembiński udowodnił, że mimo popełnionych błędów, sprawa nie była straconą, oddzieliwszy się bowiem od nich, przebił się ze swoim oddziałem przez Moskali i powrócił szczęśliwie do Warszawy. Giełgud jednak i Chłapowski, zamiast naśladować jego przykład, albo też rozdzielić swe wojsko na partyzanckie oddziały i rozpocząć podjazdową wojnę na Litwie, stracili zupełnie ducha i postanowili do Prus wkroczyć.

Skoro się o tem dowiedziała Emilia Plater, a starania jej odwiedzenia generałów od tego nieszczęsnego zamiaru nie odniosły skutku, opuściła wojsko i w towarzystwie Maryi Raszanowiczównej, Cezara Platera oraz oddziału strzelców, ruszyła lasami ku Królestwu w celu dostania się do Warszawy i zaciągnięcia do szeregów głównej armii polskiej. Po dziesięciodniowym, pełnym trudu marszu udało im się dotrzeć w Augustowskie, lecz tutaj opuściły siły fizyczne bohaterską dziewicę i zmusiły ją do pozostania we wsi Ustyanowie, we dworze Abłamowiczów, gdzie otoczono ją serdeczną opieką. Opieka ta jednak na nic się nie zdała; znękana fizycznie, zmartwiona i złamana moralnie wieścią o upadku powstania, zakończyła bohaterski żywot dnia 23 grudnia 1831 r.

Wielki nasz wieszcz Adam Mickiewicz, który słusznie powiedział, że:

„W słowach chęć tylko widzim, w działaniu potęgę:
Trudniej dzień dobrze przeżyć, niż napisać księgę“,

zachwycony miłością ku ojczyźnie i poświęceniem Emilii Plater, która, mogąc żyć w dostatkach i rozkoszach, przeniosła nad nie śmierć za ojczyznę, napisał na jej cześć wiersz, w którym złożył hołd jej zasługom i zgon jej opisał. Wiersz ten brzmi jak następuje, a nosi tytuł:

ŚMIERĆ PUŁKOWNIKA.

W głuchej puszczy, przed chatą leśnika,
Rota strzelców stanęła zielona;
A u wrót stoi straż pułkownika,
Tam w izdebce pułkownik ich kona.

Z wiosek zbiegły się tłumy wieśniacze,
Wódz to był wielkiej mocy i sławy,
Kiedy po nim lud prosty tak płacze
I o zdrowie tak pyta ciekawy.

Kazał konia pułkownik kulbaczyć,
Konia w każdej sławnego potrzebie;
Chce go jeszcze przed śmiercią zobaczyć,
Kazał przywieść do izby, do siebie.
Kazał przynieść swój mundur strzelecki,
Swój kordelas i pas i ładunki;
Stary żołnierz, on chce, jak Czarniecki,
Umierając swe żegnać rynsztunki.

A gdy konia już z izby wywiedli,
Potem do niej wszedł ksiądz z Panem Bogiem;

I żołnierze od żalu pobledli,
A lud modlił się, klęcząc przed progiem.
Nawet starzy Kościuszki żołnierze:
Tyle krwi swej i cudzej wylali,
Łzy ni jednej — a teraz płakali
I mówili z księżami pacierze.

Z rannym świtem dzwoniono w kaplicy.
Już przed chatą nie było żołnierza.
Bo już Moskal był w tej okolicy.
Przyszedł widzieć lud zwłoki rycerza.
Na pastuszym tapczanie on leży;
W ręku krzyż, w głowach siodło i burka
A u boku kordelas, dwururka.

Lecz ten wódz, choć w żołnierskiej odzieży,
Jakie piękne dziewicze ma lica!
Jaką pierś!... Ach, to była dziewica,
To Litwinka, dziewica bohater,
Wódz powstańców: Emilia Plater.

Taką pieśnią wielki wieszcz pożegnał wielką bohaterkę i zapewnił jej wieczną pamięć w narodzie, bo czyje imię żyje w pieśni, ten jest nieśmiertelnym.

Inż. Eustachy Śmiałowski.

POLSKA I JEJ GRANICE.

(Ciąg dalszy).

Liczne zwycięskie wojny Bolesława Chrobrego przyniosły Polsce potęgę i dobrobyt, wpłynęły jednak zarazem na wytworzenie się nowych stosunków społecznych w jej granicach. Powstał nowy stan rycerski, który przyniósł ujmę dotychczasowej równości narodu. Żołnierze, którzy lata całe pod wodzą bohaterskiego króla staczali zwycięskie boje, zaczęli z góry patrzeć na innych współobywateli i z powodu poniesionych trudów, otrzymanych ran i położonych zasług, poczęli się uważać za wyższych nad innych, za pierwszych w narodzie. Taki waleczny wojak, co zbroją okryty, z szablą w dłoni, lat kilka, a nieraz i kilkanaście, patrzył mężnie śmierci w oczy w setkach potyczek i bitew, co gromił zwycięzko Niemców nad Elbą i Normandów nad Dnieprem; powróciwszy do ojczystej zagrody, otoczony chwałą i powszechnem poważaniem, nie kwapił się do roboty — uważał, że należy mu się odpoczynek i wesoła zabawa w przyjaciół gronie, że inni kmiecie powinni mu dostarczyć środków utrzymania, by mógł odpocząć i znów iść w bój w ich obronie, gdy zajdzie tego potrzeba. Z początku, gdy takich rycerzy stosunkowo nie wielu było, nikt się ich żądaniom nie sprzeciwiał — rozumiano, że jeżeli w kraju jest spokój i dobrobyt, to zasługą to rycerskich pałaszy, które wypłoszyły wrogów hen za Elbę na zachodzie, a za Dniepr na wschodzie. Rozumiano, że lada chwila znów może być potrzeba wprawnych rąk i serc nieustraszonych, któreby zwycięski opór stawiły najezdnikom. Z czasem jednak liczba rycerzy wzrosła, rodziny ich rozmnożyły się, a synowie rycerscy zapragnęli tych samych względów, jakich doznawali ojcowie. Zapragnęli, by ich tak samo kmiecie utrzymywali, bez względu na to, czy już żądanie to krwią i zasługą okupili, czy je dopiero w przyszłości obiecywali okupić. Tak z łona kmieci, jedynych dawniej, obywateli Polski, powstał stan rycerski, później szlachtą zwany, który niedługo w zamian za obowiązek bronienia ojczyzny, przywłaszczył sobie pierwszeństwo w narodzie i władzę nad ludem.

Do wytworzenia stanu rycerskiego tem łatwiej przyszło, gdy po śmierci Bolesława Chrobrego liczni nieprzyjaciele zagrozili ojczyźnie naszej. Gdy brakło tego genialnego duchem, a potężnego ciałem króla, pod którym, jak powiada współczesny kronikarz: „koń się uginał“, pokonani przez niego wrogowie Polski, zaczęli się sposobić do odwetu i pomszczenia klęsk poniesionych.

Następca Chrobrego, syn jego Mieczysław II., znalazł się w nader trudnem położeniu. Nie był on wcale „gnuśnym“, jak go niesłusznie nazwano; owszem, był mężnym rycerzem i mądrym władcą, lecz nie posiadał geniuszu i siły swego ojca, a imię jego nie budziło takiej trwogi i poszanowania, jak ojcowskie.

Zaledwo Mieczysław objął rządy, cesarz niemiecki, Konrad II., zażądał od niego, ażeby hołd mu złożył i uznał się za cesarskiego lennika, to jest za księcia od cesarza zawisłego. Trzeba bowiem wiedzieć, że ówcześni cesarze niemieccy, tytułowali się cesarzami rzymskimi, chociaż Rzymem, należącym do papieży, nie władali, a ponieważ rzymskie cesarstwo panowało niegdyś przez dłuższy czas nad wszystkimi krajami, położonymi na wybrzeżach morza śródziemnego, tak w Europie, jak w Azyi i Afryce, mieli pretensyę do panowania nad całym światem i wszystkich innych królów i książąt panujących, uważali za swoich podwładnych. Naturalnie, że pretensya ta była najzupełniej nieuzasadnioną; bo najpierw cesarze ci z nazwiska jeno byli rzymskimi, w rzeczywistości zaś niemieckimi, jedynie bowiem nad Niemcami

mieli władzę, a potem cesarstwo rzymskie nie miało żadnego prawa do panowania nad światem. Władzę nad krajami, położonymi dokoła śródziemnego morza, zdobyło przemocą i w czasie największej potęgi swojej zaledwie małą cząstkę ziemi zajmowało, a o panowaniu jego nad światem dlatego tylko mogła być swego czasu mowa, iż ówczesna wiedza o ziemi była bardzo ograniczoną i Rzymianie o istnieniu innych, dalej położonych krajów, nic nie wiedzieli. Najbardziej wysunięte granice cesarstwa rzymskiego ku północnemu wschodowi, sięgały zaledwo do rzeki Dunaju i nigdy żaden skrawek Polski cesarstwu temu nie podlegał. To też Mieczysław II na żądanie cesarza Konrada odpowiedział odmownie i w roku 1026 ukoronował się na króla polskiego. Rozgniewany cesarz podburzył Czechów do napadu na polskie Morawy i sam szykował wyprawę w granice Polski — równocześnie książe ruski Jarosław, wpadł w Kijowskie niszcząc kraj ogniem i mieczem, a Pomorzanie, zamieszkujący kraj polski nad morzem bałtyckiem, podnieśli rokosz, prawdopodobnie przez cesarza podjudzeni.

Pomimo tylu kłopotów, Mieczysław nie stracił głowy, powstrzymał zapędy Jarosława, skuteczny opór stawił Czechom, cesarza zmusił do ograniczenia się na zajęciu Luzacyi, kraju położonego nad rzeką Elbą, a nad Pomorzanami odniósł świetne zwycięstwo i zmusił ich do uległości. Wśród bojów tych, trwających od 1026 do 1033 roku, znalazł jeszcze dosyć czasu, ażeby w r. 1032 ustanowić biskupstwo wrocławskie. Król, który tylu czynów dokonał w ciągu lat siedmiu, nie zasługuje chyba na przydomek „gnuśnego"! Przydomek ten spadł na niego zupełnie niezasłużenie z tego powodu, iż umarł bardzo rychło, bo już po 8-miu latach panowania, d. 15 marca 1034 r., w 44 roku życia, pozostawiając bardzo młodego syna Kazimierza, pod opieką żony swojej Ryxy. Klęski, jakie spadły pod rządami, władającej chwilowo Polską, w imieniu syna, tej Niemki, wnuczki cesarza Ottona II, (zmarłego w r. 982), policzono na karb nieżyjącego już Mieczysława i sponiewierano pamięć jego, zasługującą na cześć i uznanie.

Pod niedołężnemi rządami Ryxy straszne zamieszanie powstało w Polsce. Królowa Niemka, na niemiecki sposób, samowolnie chciała władać Polakami i naprzód rycerzy, następnie cały naród oburzyła na siebie, tak, że w r. 1035 musiała uciekać z Polski. Młodociany, wpływom matki ulegający, królewicz również uszedł z kraju i udał się do Węgier, gdzie go król Stefan, z niewiadomego powodu, uwięził. Dopiero po śmierci Stefana w r. 1038 odzyskał Kazimierz wolność i podążył za matką do Niemiec. A tymczasem w Polsce, pozostawionej bez steru, bardzo źle się działo, ze wschodu napadł ją ruski książe Jarosław, z zachodu czeski Brzetysław, ktory złupił Kraków i Gniezno. Kmiecie niezadowolni z utworzenia się rycerskiego stanu, nie widząc z jego strony skutecznej obrony kraju, podnieśli w wielu miejscach rokosz. W całym kraju zapanował zamęt, z wyjątkiem jednego Mazowsza, to jest nadwiślańskiej okolicy dzisiejszej Warszawy, gdzie wojewoda Masław potrafił utrzymać spokój i porządek. Na szczęście Czesi i Jarosław za słabi byli, ażeby utrzymać się w Polsce; trapieni podjazdową wojną rycerzy i kmieci, musieli opuścić jej granice, zadowalniając się zdobytymi łupami.

Wówczas przypomniano sobie królewicza Kazimierza i wysłano szukać go w Niemczech, prosząc, by powrócił i objął rządy nad skołatanym krajem. Jakoż w 1040 r. Kazimierz, wyćwiczony wśród Niemców w sztuce wojennej, a dojrzały wśród utrapień tułaczki, powrócił do ojczyzny i ukoronowany w Gnieźnie, silną dłonią chwycił ster rządów. Zawarł pokój z Jarosławem ruskim i by się tem lepiej ubezpieczyć z tej strony, pojął za żonę siostrę jego Maryę, zwaną Dobrogniewą. Pod sprężystymi, ale sprawiedliwymi rządami jego, wkrótce porządek zapanował w kraju; jeden tylko Masław, zasmakowawszy w samodzielnych rządach i owładnięty żądzą panowania, nie chciał uznać Kazimierza za króla i stawił mu zbrojny opór. Zwyciężony uciekł do Prusaków, pogańskiego jeszcze naówczas, a Litwinom pokrewnego narodu, mieszkającego nad morzem bałtyckiem, w tem miejscu, gdzie obecnie znajdują się Prusy wschodnie. Prusacy ci nie byli wcale Niemcami i z narodem niemieckim to tylko mieli wspólnego, iż tak samo jak Niemcy byli okrutni, wojowniczy, krwi i łupów chciwi. Przy ich pomocy Masław powrócił do Polski w r. 1049, ale pobity na głowę pod Płockiem, powtórnie musiał uciekać. Rozgniewani Prusacy za poniesioną kleskę, powiesili Masława, a chcąc się od zemsty Kazimierza uchronić, uznali zwierzchność Polski i obiecali płacić daninę.

Po śmierci Masława nastały spokojne czasy w kraju, a król Kazimierz zajął się gorliwie

wprowadzeniem i utwierdzeniem dawnego porządku rzeczy, odbudową poniszczonych wsi, miast i grodów, tak, iż umierając w r. 1058, zyskał sobie od wdzięcznego narodu przydomek „Odnowiciela“.

Inż. E. Śmiałowski.

NOC ZADUSZNA.

KRUDEL (na Litwie).

Odwiedzając moich krewnych na Litwie, miałam kiedyś sposobność przypatrzeć się, jak tu unici obchodzą zaduszki czyli dziady, jak oni powszechnie tę uroczystość nazywają.

Cały świat chrześcijański obchodzi ten dzień umarłych smutnie, lecz jakoś dziwnie uroczyście. Każdy spieszy na cmentarz, bo każdy ma tam kogoś drogiego, za którego chce się pomodlić. I każdy jak może przybiera grób swego ukochanego kwiatami, lampkami, świecami, by udowodnić tej duszyczce, że się o niej pamięta, że się ją zawsze kocha.

Unici na Litwie nie chcą się pozbyć dawnego zwyczaju, żeby nie zanosić potraw gotowanych na groby dla zmarłych, chociaż księża tłómaczą im, że one nie potrzebują pokarmów a tylko modlitwy; więc każda kobieta choć skrycie bierze do garnuszka co ma w domu najlepszego, żeby duszyczka choć liznęła tego, co za życia lubiła.

W tym roku na cmentarzach litewskich większy był płacz i lament, jak dawniej, a to z powodu wojny rosyjsko-japońskiej. Chociaż wojna dawno się już skończyła, ale żołnierze powrócili dopiero do domów w letnich miesiącach z Dalekiego Wschodu. I wtenczas dopiero przekonały się matki, żony, siostry i narzeczone, ilu ich tam zostało, w tej dzikiej Mandżuryi, bo tylko mała garstka powróciła do domów. Więc w dniu zadusznym wszystkie te sieroty po mężach, synach i ojcach zgromadziły się pod krzyżem na środku cmentarza, a płacząc i jęcząc, zawodziły żałośnie. Wieczorem każda z tych matek czy żon przyniosła coś dobrego w garnuszku, ustawiała pod krzyżem swoje przysmaki, przy każdym garnuszku zapaliły świeczki, bo wierzyły w to, że te ich drogie duszyczki przyjdą choć z tak daleka na cmentarz we wsi rodzinnej; bo duszyczka nie potrzebuje nawet skrzydeł, żeby taką przestrzeń przebyć, ale jak lekki obłoczek, jak mgła z wiatrem przyleci.

Jedna z młodych kobiet, która przed dwoma laty wyszła za mąż, a w pół roku po ślubie musiała się rozstać z swym ukochanym Pawełkiem na zawsze, i która do tej pory nie może utulić się w ciężkim żalu, postanowiła noc zaduszną przepędzić na cmentarzu, ażeby zobaczyć swego zmarłego męża.

— On przyjdzie — mówiła — ja wiem, że przyjdzie, by zobaczyć mnie i swego synka małego, którego jeszcze nie zna.

I rozżalona kobieta uprosiła swego starego ojca, żeby z nią noc zaduszną przesiedział na cmentarzu.

W zacisznem miejscu, pod krzakami, w bliskości krzyża na nagromadzonych suchych liściach, usadowiła się młoda matka, tuląc do piersi maleńkiego Józusia, a obok niej ułożył się stary ojciec.

Długo rozmawiali ze sobą, staruszek opowiadał córce, ile on nocy przepędził na cmentarzu w młodych latach swoich, czatując na słowiki, które tu z wiosną ślicznie śpiewają. Wreszcie usnął, a młoda wdowa zaczęła odmawiać różaniec, ofiarując go za duszę swego Pawełka.

Wkrótce i ona zdrzemnęła się, aż oto jakiś dziwny szelest zwrócił jej uwagę. I widzi, że od bramy cmentarnej snują się jakieś cienie, jakieś jak ludzkie postacie z białej mgły utworzone, przez którą nie widać ciała, lecz tylko miejsca krwawemi ranami okryte, niezabliźnione, z których krew ściekała. I widma te poszły pod krzyż, padły na twarze i całowały tę świętą rodzinną ziemię. I zaroiło się na cmentarzu, bo z grobów powychodziły szare duchy i witały się z nowo przybyłymi. Jeden z tych białych, bliznami okrytych duchów, zbliżył się do młodej kobiety, nic nie mówił, tylko witał ją uśmiechem i skinieniem głowy i ona rozpoznała w nim swego Pawełka. Podała mu dziecko, żeby je pobłogosławił, potem Paweł złożył zimny pocałunek na jej czole. Wzdrygnęła się i szeroko roztworzyła oczy. To wiatr zimny musnął ją po twarzy i rozbudził z uśpienia.

Już świtało; zbudziła ojca:

— Tatusiu chodźmy do domu, bo zimno strasznie, mój Józuś cały dygocze, choć go kożuchem okrywam.

W drodze do domu pytała młoda wdowa ojca:

— Tatusiu, widzieliście ich?

— A jušci widziałem wszystkich, a jakże, mieli na sobie mundury piękne, pozapinane, jakby szli na paradę.

— Oj, gadacie, tatusiu, gadacie, gdzie ta w mundurach byli, przecie to ino duchy, ze mgły, ja ich wszystkich dobrze widziałam, tacy wszyscy porąbani, niektórzy bez rąk, ta i bez nóg, ino z nich krew spływa.

— A Pawła widziałaś?

— A jakże, widziałam, był przy mnie, pobłogosławił Józusia, tylko im mówić nic nie wolno. I mnie pocałował w czoło, ale taki był zimny, że aż mnie zimno się zrobiło od tego pocałunku.

I biedna kobieta, biorąc sen za rzeczywistość, wierzyła święcie, iż widziała swego ukochanego męża.

W. Ciechomska.

Zabezpieczajmy życie!

Jeżeli przezorny gospodarz zabezpiecza swój dobytek, to czyż życie ludzkie, które dobytek ten wytwarza i przez pracę pomnaża. nie jest droższe nad wszystko? Tak, nie ulega to żadnej wątpliwości! — To też życie ojca rodziny, który daje byt kilku lub nawet kilkunastu osobom, winno być otaczane szczególną troskliwością ze strony wszystkich członków rodziny. Oszczędzanie zdrowia, dobry pokarm, usuwanie zmartwień, wszystko to dopomaga do podtrzymania życia ludzkiego i nie powinno być przez nikogo zaniedbywane.

Ale prędzej czy później głowy rodziny zabraknie. Gospodarka, idąca dotąd składnie, zaczyna się rozluźniać, a następnie się rozpada. Ojcowizna dzieli się na kawałki pomiędzy rodzeństwo, albo się ją sprzedaje, aby podzielić się pieniądzmi, albo wreszcie przechodzi na starszego syna, który dobrowolnie bierze na siebie spłatę rodzeństwa, a przez to samo i ciężar, który go nieraz całe życie przygniata.

I tutaj nauka, oświata oddają ludziom usługi, bo pozwalają zabezpieczyć życie ludzkie. Nie chodzi o zabezpieczenie się od śmierci, bo od niej nic nas uchronić nie może, ale od tych złych skutków, które następują, gdy umiera głowa rodziny, nie pozostawiając zasobów do prowadzenia gospodarki.

Od takich właśnie złych skutków zabezpieczają ludzi towarzystwa ubezpieczeń na życie. Zapobiegają one nieopatrzności człowieka, gdyż przez odpowiednie wpłaty coroczne można w nich zabezpieczyć sobie na stare lata, lub rodzinie w razie śmierci, pewien zasób pieniędzy, naprzykład pięćset, tysiąc, albo więcej koron, które towarzystwo wypłaca w całości rodzinie zaraz po śmierci zabezpieczonego, choćby umarł po złożeniu tylko pierwszej wpłaty, albo też wypłaca je samemu zabezpieczonemu, gdy dożyje lat umówionych, naprzykład po latach 25, czy też 30.

Osoba, w 30-ym roku życia zabezpieczy się na tysiąc koron, płaci rocznie 30 koron w przeciągu lat trzech; w czwartym roku i w latach następnych płaci nieco mniej, gdyż się jej odtrąca przypadającą na nią część dochodu towarzystwa. Człowiek 40-letni płaci więcej — np. 40 koron co rok; 50-letni, już 50 koron. Tyle płacą ci, którzy zabezpieczają się na przeciąg lat 30, to jest, że po latach 30-tu takiego płacenia otrzymują cały tysiąc koron (albo tyle, na ile się zabezpieczają), a w razie wcześniejszej śmierci rodzina otrzyma te pieniądze niezwłocznie. Kto chce zabezpieczyć się na lat 25, czy na 20, ten, rozumie się, musi płacić więcej.

Tak więc ojciec rodziny, gdy zrobi naprzykład z towarzystwem umowę na 1000 koron i dostanie „policę“ czyli tę umowę spisaną i gdy płaci potem towarzystwu akuratnie coroczne wpłaty, ma poniekąd spokojne sumienie, że zabezpiecza przyszłość swej rodziny i spokojnie może pracować, bo ledwie zaczął składać dla swej rodziny, ledwie zapłacił pierwszą część rocznej składki, a już jest pewny, że gdyby jutro śmierć go zaskoczyła, rodzinie jego wypłacą tysiąc koron, za potrąceniem jedynie reszty owej części rocznej składki, jeżeli nie opłaca jej odrazu, tylko częściowo, co pół roku, lub kwartalnie.

A w razie choroby, ileż to spokoju daje taka pewność zabezpieczenia rodziny! Każdy chrześcijanin, w razie choroby, gdy został już z Bogiem pojednany, godzi się jakoś z myślą o śmierci i tylko myśl, że zostawi rodzinę bez sposobu do życia, że gospodarka jego się rozbije, jeszcze go trapi. Ale gdy jest pewny jutra dla swej rodziny, niepokój nim nie owłada, i nawet zdrowie wtedy łatwiej powraca.

Może kto powie: Gdybym składał pieniądze do kasy, złożyłbym tyleż, albo i więcej, bo jestem już stary i zabezpieczając się, dro-

żej muszę płacić. Tak, ale rodzina, gdybyś jutro umarł, weźmie tyle tylko, ile w kasie zdążyłeś złożyć. A przytem czy miałbyś tyle silnej woli, żebyś stanowczo co rok odkładał? A tu, gdy się zabezpieczysz, musisz już płacić wkłady, bo inaczej wszystko przepadnie.

Gdy rolnik będzie przymusowo oszczędzał te kilkadziesiąt koron rocznie przy płaceniu na zabezpieczenie się, to dojdzie do pieniędzy, którychby może nie miał. A co ważniejsza, w razie wczesnej śmierci, zabezpieczy byt rodzinie.

Gdy dzieci dojdą do pełnoletności i wypłacać im trzeba będzie po 200 do 300 koron, to towarzystwo udzieli zabezpieczonemu tych pieniędzy na 6 procent, jeżeli już uiścił stosowną ilość opłat, a dług ten strąci dopiero wtedy, gdy będzie wypłacało należność za zabezpieczenie się.

A zatem korzystając z takich udogodnień, można urządzić sobie życie do pewnego stopnia spokojne — zabezpieczywszy od ognia swój dobytek, a prócz tego i przyszłość swoją i swej rodziny.

NIE OBCA!

Nie obca mi mapa
Ojczyzny kochanej,
Krainy, trzykrotnie
Przez kruków szarpanej.

Nie obca mi nazwa
Gniezna i Poznania,
Bom słyszał o Lechu
I orle podania.

Nie obca mi strona
Śląska kochanego,
Wiem, gdzie Głogów leży,
Znam Krzywoustego.

Nie obca mi Litwa,
Wiem, gdzie Wilno leży,
Pokażę linijką.
Kędy Niemen bieży.

I Ruś mi nie obca,
Wszakże tak być musi,
Że kto kocha Polskę,
Nie obcy dla Rusi.

Nie obca mi mapa
Ojczyzny kochanej,
Polski — Litwy — Rusi,
Wielką zdeptanej.

Ani mi nie obca
Ta ufność w moc Boga,
Która nam pomoże
Wygnać z kraju wroga.

Jadwiga S.

O KRÓLEWICZU
I O TRZECH SIOSTRACH Z KURNEJ CHAŁUPY.

Hej! tam na goplańskiem ostrowiu, na majdanie stała niska kurna chata, a w tej chacie mieszkały przy starej matce trzy cudkrasawice.

Wieść o nich doszła do młodego króla, który po całym kraju szukał sobie żony. Wybrał się więc zbrojno, dworno i przyszedł do ubogiej chaty ze złotą koroną w ręku, gdzie u proga witały go trzy dziewoje, kryjąc rąbkiem białym, zapłonione lica.

— Nie skłamali dworzanie — rzekł młody król — kiedy mi mówili, że pod tym dachem słomianym, trzy najpiękniejsze zakwitają róże. Czy dasz mi jedną z nich — rzekł, obracając się do matki.

— Wybieraj królewiczu, a wybranej twojej pobłogosławię z serca, odpowiedziała matka.

Królewicz po kolei spojrzał na każdą z nich i nie wiedział, którą ma wybierać.

Westchnął zakłopotany, a wsparłszy czoło o okno, patrzał w ogród. Ogródek lśnił się od blasków słonecznych, gdyż na dworze była jesień cudna, ciepła, nadgoplańska jesień. Niebo jaśniało w górze jak zaczarowane zwierciadło, a w przeźroczem modrem powietrzu unosiły się nizko nad ziemią nitki „Babiego lata“.

Królewicz patrzał w zamyśleniu czas jakiś na nitki tęczowe i złote, które lekkie jak pajęczyna słaniały się między niebem i ziemią, aż klasnął uradowany w dłonie i zawołał:

— Matko — każ córkom zwijać babie lato, a która z nich najprędzej największy kłębek nici przyniesie, tę wezmę za małżonkę, a zarazem przekonam się o jej pracowitości.

Nazajutrz skoro świt, trzy siostry wybrały się na robotę, motać na kłębki przędzę czarodziejską.

Ale cóż, najmłodsza wybiegłszy na pola i łąki, uganiała tylko za kwiatami, nazatykała je sobie za warkocze i stanik i tak w tem miłem zajęciu zapomniała o robocie i królewiczu.

Druga średnia pobiegła nad strugę leśną, gdzie jesienią bywało najpiękniej. Z gęstej leszczyny wyzierały jak perły młode orzechy, a ponsowe głogi czerwieniły się jak usta dziewczyny. Poczęła więc zbierać orzechy i chrupać tak głośno, że aż wiewiórka na drzewie, pozazdrościła jej tego. Potem znudzona usnęła, a gdy się zbudziła było już nad wieczorem i mnóstwo nitek babiego lata, obsnuło się dokoło niej, że wyglądała jakby w złotogłowiu królewskiem. Spojrzała i uśmiechnęła się, przypomniała sobie królewicza, ale już było za późno.

Trzecia tylko najstarsza pilna i skrzętna siadłszy pod krzyżem przydrożnem, cały dzień motała babie lato na kłębek i nad wieczorem miała już ogromny kłąb, jakby z dyamentu i złota.

Królewicz niecierpliwie czekał powrotu trzech sióstr i wyszedł aż poza wrota naprzeciw.

Najprzód przybiegła najmłodsza cała w kwiatach i śmiejąc się otrząsała z warkoczy dokoła siebie na ziemię chabry, maki i żółte nogietki, wołając:

Nie będę królową! Nie będę królową!
Milej mi łąkami
Biegać za kwiatami
Niż królową być — z królewiczem żyć!

Średnia weszła we wrota, gdyby w płaszczu złocistym, pokłoniła się królewiczowi, zanuciła:

Hej nie dla mnie gody,
Królewiczu młody,
Wolę ja mój gaj, leszczynowy gaj,
Gdzie mi wiatr skrzydlaty
Złote przędzie szaty.

Trzecia najstarsza zbliżała się powoli, niosąc przed sobą kłębek błyszczący. Królewicz uradowany poskoczył ku niej, chcąc ją ucałować w purpurowe usta i włożyć koronę na głowę, ale dziewczyna zasłoniła się tylko swoim kłębkiem i rzekła z prostotą:

Kiedym ten kłębek zwijała
Nie o królewiczu myślała
Myślałam o mym Janku
Pierwszym młodym kochanku.
Jemu dam kłębek złocony
Poszukaj gdzieindziej żony.

A. B.

Czy łasica jest zwierzęciem pożytecznem?

Któż nie zna tego maleńkiego, zgrabnego zwierzątka? i któż się nie zgodzi, iż wygląda ono nadzwyczaj ładnie, gdy wysunąwszy się z kryjówki, rozgląda się ciekawie na wszystkie strony, staje na tylnych łapkach, a potem nagle znika w jednej chwili za lada podejrzanym szmerem?

Ładniutka jest łasiczka bez wątpienia, ale czy jest zarazem pożyteczna? czy można bez obawy pozwolić jej osiedlić się na naszem podwórku, w stodole, śpichrzu lub nawet na strychu domu? Lato spędza zwykle na polu lub w lesie, ale w jesieni zjawia się zawsze we wsi i szuka sobie mieszkania na zimę wśród ludzi? Co zrobić wtedy? Przyjąć ją gościnnie, czy zabić, a przynajmniej wypędzić?

Gospodynie, pamiętne odwiedzin tego małego drapieżcy w kurniku, witają ją nie zbyt chętnie? Możeby rade były zastawić nawet żelazka na nią u wejściu do kurnika i pozbawić ją życia na równi ze straszną szkodnicą—kuną.

Czy jednak będą miały słuszność? Czy łasica jest istotnie tak zajadłym wrogiem kur. jak kuna, i zasługuje na takie samo bezwzględne tępienie?

Chcąc odpowiedzieć na to pytanie, musimy zastanowić się nieco nad obyczajami tego zwierzątka i sprawdzić, czem ono się żywi.

Otóż przedewszystkiem, nikt nie będzie zaprzeczał, że łasica chętnie zadusi kurę, gołębia lub innego ptaka i napije się ich krwi. Ale nie robi tego wcale tak często i wogóle ptaki nie stanowią jej głównego pokarmu, już chociażby dlatego, iż nie jest ona tak zręczna, jak kuna i nie świetnie łazi po drzewach. Wspina się więc na nie jedynie wtedy, kiedy jest bardzo głodna, a nie może nic upolować na ziemi.

Główny jej pokarm stanowią myszy. Łapie co prawda także i inne zwierzęta, jak szczury, jaszczurki, węże, żaby, większe owady. Najwięcej jednak i najchętniej poluje na myszy. Jest ona tak strasznym ich pogromcą, że nawet kot nie może się z nią równać: zwinna i zgrabna, a przytem mała, łasica wśliźnie się wszędzie, tak dalece, że nawet mysia dziurka nie zawsze bywa bezpiecznem

schronieniem przed nią, wsuwa się bowiem i tam w pościgu za myszą. Jest przytem ogromnie żarłoczna i krwiożercza: zagryzłszy jedną mysz, wypija jej krew i natychmiast idzie szukać nowej ofiary. A nawet gdy się już nasyci, poluje jeszcze dalej dla samej przyjemności polowania i zabijania. Tępi też w ten sposób niezliczone ilości myszy.

Jak dalece życie jej związane jest z myszami, widać z tego, iż w tak zwane „mysie lato", kiedy na polach zjawią się niezliczone ilości tych szkodników, łasica nie opuszcza roli i do wsi nie zbliża się wcale, dopóki tylko może znaleźć myszy na polach. A do stodół i spichrzów przenosi się dopiero późną jesienią wraz z tymi szkodnikami.

W Niemczech tępiono dawniej łasice, uważając je za wrogi drobiu i wielkie szkodniki. Rząd wypłacał nawet nagrody za ich zabijanie. Urzędnicy, którzy wypłacili te nagrody, zapisywali starannie ilości dostarczonych zabitych łasic i zrobili przytem bardzo ciekawe odkrycie.

Oto nigdy nie dostarczano tylu łasic, ile w lata „klęsk mysich". Gdy naprzykład w jednym roku, ubogim w myszy, dostarczono w pewnej miejscowości tylko 655 sztuk tych zwierząt, to w następnym, a był to rok „klęski mysiej", trzeba było wypłacić nagrody za 6159 łasic. W innej miejscowości zabito w zwykłym roku niespełna 1000 łasic, a zaraz potem w obfitującym w myszy przeszło 11.000.

Zrozumieli też prędko Niemcy, co to znaczy. Ilość łasic wzrasta tak ogromnie w lata „klęsk mysich" dlatego, iż myszy stanowią główny i ulubiony pokarm tych zwierząt.

Gdy więc w jakiej miejscowości zjawią się one w większej ilości, ściągają wnet do niej łasice z całej okolicy. A że wskutek obfitości pokarmu i łatwości polowań, opływają w dostatki, mnożą się zatem niezmiernie, wydając nie jedno pokolenie w ciągu roku, jak zwykle, lecz dwa.

Przekonawszy się o tem wielkiem znaczeniu łasicy, Niemcy zaprzestali je tępić, przeciwnie wzięli je w ochronę i zupełnie słusznie: myszy należą do największych wrogów rolnika, rolnik więc przedewszystkiem powinien opiekować się takiemi stworzeniami, które je tępią. A wśród wrogów myszy łasicy należy się jedno z najpierwszych miejsc.

To też powinniśmy je powitać chętnie i przyjaźnie, gdy zjawi się w jesieni na naszem podwórku. Słusznie mówi przysłowie: „Szanuj bracie łasic w chacie". Łasica oczyści nam stodołę z myszy i przez całą zimę będzie zajadle tępić te szkodniki, wciskając się do ich norek i ścigając je nawet pod śniegiem, gdy się tam schronią. Kot nie potrafiłby dokazać tej sztuki.

Tępienie zaś myszy jest szczególnie ważne w zimie, jest to bowiem zapobieganie klęsce, która może się wydarzyć w roku następnym. A zapobiedz jest zawsze wygodniej, niż walczyć z samą klęską. Myszy są ogromnie mnożne: od wiosny do jesieni jedna para może wydać 2 i 3 pokolenia, a część tych młodych jeszcze tego samego lata miewa już potomstwo. Obliczono, że cała taka rodzina, powstała w ciągu roku z jednej pary myszy, może dochodzić do 200 sztuk.

Łasica więc, która w zimie zagryza dużo myszy, wyświadcza nam taką przysługę, jak gdyby potem w lecie zadusiła ich 200. Pomyślmy teraz, ile par myszy wydusi ona przez zimę, a zrozumiemy łatwo, jak znakomicie zabezpieczamy pola od „klęski mysiej", przyjmując ją gościnnie, gdy zjawi się u nas w jesieni.

Do drobiu puszczać jej nie należy i kurniki trzeba przed nią starannie zamykać, bo łasica umowy z nami nie robiła, że tylko myszami będzie się karmić i przy sposobności może zagryźć kurę. Myszy jednak przekłada nad kury stanowczo i możemy być pewni, że przedewszystkiem na nie będzie polować.

Poluje głównie w nocy, bo też i myszy uwijają się przeważnie po ciemku. Za dnia łasica opuszcza kryjówkę jedynie wyjątkowo, gdy się już bardzo ośmieli i pewną jest zupełnie. że nikt jej nie zaczepi.

B. Dyakowski.

NIE POSYŁAJ!

Nie posyłaj mię po wódkę,
Tatusiu kochany!
Ja się wstydzę, ja się boję
Wejść, gdzie człek pijany,
A w tym szynku pełno ludu,
Kieliszkami dzwonią,
Zdrowie tracą, grosz marnują,
Przekleństwami gonią!

Nie posyłaj mię po piwo,
Matuś, proszę ciebie!
Kto do karczmy często chodzi,
Szczęście swoje grzebie.
I bez wódki i bez piwa
Rzadkie u nas życie...
A po wódce i po piwie
Łzy płyną obficie.

Nie posyłaj mię po arak,
Tatusiu kochany,
Ja się wstydzę wejść w te progi,
Gdzie są szynku ściany.
Każda cegła tam przeklęta,
Każda kropla truje...
Ten szczęśliwy, kto od szynków
Duszę swą ratuje.

Dość już pili dotąd ludzie,
Dość się przekonali,
Że i mienie i swe zdrowie
W trunkach marnowali.
Wódka rozum w głowie mięsza,
Piwo z nóg obala...
Arak z człeka robi zwierzę,
Po ziemi się wala.

Pili Kuby do Jakubów,
Marnowali życie...
Teraz będziem już mądrzejsi,
Niźli wy myślicie...
Temu sława i uznanie,
Kto trzeźwość ślubuje!
Kto do szynku drogi nie zna,
Każdy go szanuje. *J. S.*

DZIESIĘĆ RAD DLA CIERPIĄCYCH NA PŁUCA.

Na milion mieszkańców, przypada w Polsce przeszło 2.500 wypadków śmierci jedynie wskutek gruźlicy. Dla skutecznego i trwałego zwalczania cierpień płucnych, zwłaszcza gruźlicy, jako choroby bardzo rozpowszechnionej, koniecznie potrzebne jest współdziałanie mądrego rządu, uzdolnionych lekarzy oraz oświeconego narodu. W celu wyrobienia pierwszego stopnia takiej oświaty w naszym narodzie, podajemy tu następujących ważnych 10 rad:

1. Lubuj się zawsze i wszędzie w czystem, świeżem powietrzu, a unikaj zepsutego powietrza. A zatem nie przesiaduj godzinami w lokalach, napełnionych dymem cygar, ale raczej odprawiaj „uczty powietrzne“, abyś mógł silnie oddychać i wyrzucać zarazki płucami, tak, jak młockarnia odrzuca plewy od ziarna. Największem naszem nieszczęściem jest powietrze szczelnie zamkniętych pomieszkań. Staraj się o dostateczne przewietrzenie pomieszkania, a mianowicie zapomocą przewiewu (przeciągu), t. j. otwieranie okien i drzwi; dalej przebywaj na powietrzu i na słońcu.

2. Nie pluj na podłogę.

3. Zamiast wódki, koniaku, piwa i t. p., pij dobrą, czystą wodę, kwas dzieżny, soki owocowe lub mleko.

4. Wystrzegaj się nietylko napojów spirytusowych, ale również pokarmów ostro przyprawionych, wzbudzających pragnienie.

5. Od palenia tytoniu powstrzymaj się najlepiej zupełnie.

6. Codziennie zmywaj wodą całe ciało, a co najmniej górną połowę ciała.

7. Unikaj wszelkiej kurzawy i dymu.

8. Nie wdychaj powietrza przez usta, lecz przez nos.

9. Wystrzegaj się wszelkich zbytnich wysiłków, tak cielesnych, jak duchowych, w szczególności zaś wysileń płciowych.

10. Nie bądź gniewliwym, ale staraj się być zawsze wesołym i pełnym wiary w lepszą przyszłość.

MIĘSOŻERNE ROŚLINY.

Istnieje wiele roślin tak ukształtowanych, że owady — różne małe zwierzątka, które się z niemi zetkną, muszą się na nich zatrzymać. Przekonano się, że większość tych roślin czerpie pożywienie z owych zwierzątek.

Najciekawsze są rośliny rodniowce, ich dzbanuszkowe liście są istotnemi pułapkami. Jeniec nie może uciec z powodu niezliczonych kolców, zwróconych ku środkowi. Pułapki te mają rozmaity kształt: rurkowaty, puharowaty, niekiedy skręcone są w śrubę. W każdej można rozróżnić przynętę i przeszkodę do ucieczki, wreszcie wydzielinę, która przyspiesza rozkład lub rozpuszcza owady schwytane, a przez to przygotowuje z nich pokarm. Przynęty są bardzo zwyczajne, przeważnie miód i żywość farby. Ilość schwytanych owadów jest bardzo wielka, nieraz

wszystkie dzbanuszki napełnione są żyjątkami, albo raczej ich zwłokami po brzegi.

Z początku dzbanuszek jest całkiem zamknięty, z zewnątrz zaś pokryty żółtym lub różowym włoskiem, niekiedy białym.

Następnie podnosi się przykrywka. włosy opadają, ale na zielonem tle pokazują się purpurowe plamy i żyły. Owady ściągają się do dzbanuszków tak, jak do kwiatów, tem bardziej, że miód wyściela ich brzegi. Wnętrze zaś, do którego wpadają, tak jest lepkie od wosku, że w żaden sposób wydostać się zeń nie mogą. Prócz tego liczne kolce, zwrócone ku wewnątrz, bronią wyjścia. Płyny, znajdujące się w osobnych komórkach, sprawiają rozkład zwierzątek.

W bagnach północno-wschodniej Ameryki, rośnie roślina „Sanacenia purpurea". Jej liście, zamienione w puszki, ułożone są w różyczkę, spoczywają na wilgotnej ziemi, przechylając się łukowato. Ich blaszka ma kształt muszli i wklęsłą swoją stroną zatrzymuje krople deszczu, który dostaje się do głębi puszek. Komórki, wyścielające te puszki są łuskowate, a muszlowata blaszka liścia posiada gruczoły, miód wydzielające. Zwabione zwierzątka z łatwością wpadają do głębi puszek i służą roślinie za pożywienie.

Istnieje jeszcza inna grupa mięsożernych roślin, u których objawia się nawet pewne poruszenie przy zetknięciu z ciałem zwierzęcia. Poruszenia te mają na celu strawienie złowionych zwierząt. Taką jest Drosera, której jeden gatunek żyje na torfowiskach, w okolicy Berlina. Liście jej opatrzone są z brzegu i wierzchu licznemi rzęsami, zakończonemi kolbą. Te kolby są gruczołami, wydzielającymi płyny. Otóż jeżeli do nich przytkniemy jakiekolwiek szczątki organiczne bezazotowe, lub piasek i t. p., wydzielają one płynu więcej i to kwaśnego. Ale skoro mały owad dotknie się rzęs rośliny, następuje zaraz dziwny objaw. Gruczoły wytwarzają pepsynę, a im więcej owad przebiera członkami, chcąc się wyswobodzić, tem więcej obwija się w lepką substancyę, a w całem urzęsieniu rośliny, wzmaga się ruch niezwykły w celu wydzielenia jak największej ilości trawiącej materyi.

ZESZŁA GWIAZDKA!

Zeszła gwiazda!... radość wielka
Z krańca w kraniec dziś przelata...
Wszystkich czoła promienieją
I gdzie pałac i gdzie chata...
Wieść wesoła wchodzi w próg:
— Narodził się Jezus! Bóg!

Zeszła gwiazda!... I my z wami
Razem wszyscy jak w rodzinie,
Do opłatka stajem razem,
Niech wesoła pieśń rozpłynie...
W każdej wiosce, w każdy próg:
— Narodził się Jezus! Bóg!

Zeszła gwiazda!... Miejmy wiarę,
Że się skończą dni niewoli!...
I kolędę w wolnej Polsce
Bóg zanucić nam dozwoli...
Przyjdzie szczęście w każdy próg:
— Narodził się Jezus! Bóg!

Zeszła gwiazda!... Bądźmy bliżsi
Sercem, duszą, silnej wierze...
Cnotą życie nam nie błyśnie,
Kto się z winy nie wypierze...
A więc naprzód — w zasług próg:
— Narodził się Jezus! Bóg!

Zeszła gwiazda!... Dajcie dłonie,
Zapomnijcie, co bolało...
Razem idźmy tak w postępie,
By nam życie lepsze działo...
Byśmy przeszli błędów próg:
— Narodził się Jezus! Bóg! *J. S.*

WIERZBA NA PUSTKOWIU.

(Legenda wigilijna).

W pustkowiu, głuszy, gdzie wichr dziko broi
I nocne wyprawia harce,
Samotna wierzba na pustkowiu stoi,
Grudnie ją chłoszczą i marce.

Może lat tysiąc, może więcej jeszcze,
Tego nikt z ludzi nie powie,
Przechodząc mimo zimne wstrząsną dreszcze,
Po ciele przebiega mrowie.

Czarna, spalona od burzy i gromów,
Nocą księżycem bielona,

Jak smutne widmo w posępne niebo
Suche wyciąga ramiona.

W północnej dobie coś straszy, chichoce,
Z pod nóg się wyrwie, pomyka,
Jęknie jak puszczyk, w skrzydła załopoce,
Iście czyścowa muzyka.

Tego nikt nie wie, co? jaka? przyczyna,
Każdy się żegna zdaleka,
Raz po raz szepce w „Imię Ojca, Syna"
Mija złe miejsce, ucieka.

Lecz gdyby znalazł się ktoś w pogotowiu.
No, śmiałek jaki prawdziwy
I pojrzał nocą na wierzbę w pustkowiu,
Dziwy by ujrzał nad dziwy.

Oj, nie straszydło żądzą okrutne,
Ni piekła czarnego sługi,
Ale dzieciątek duszki pokutne,
Jedna uśpiona przy drugiej.

Jak pąk przy pąku, gdy się wiosną bielą,
Poranną bujane ciszą,
Tak u wić, suchych nad czarną topielą
Białe się duszki kołyszą.

Bez chrztu to zmarło. Żyły chwilek kilka
Zamknęły oczka, pobladły,
Jak marne kwiatki, jak drobne motylki,
Jak ziarnka, znów w ziemię wpadły.

Więc wiatr je chłoszcze, więc wiatr je praży,
Na starej wierzbie w pustkowiu,
Ale nikt nawet pojrzeć się nie waży,
Złe czycha wciąż w pogotowiu.

* * *

Lecz jest noc jedna — cudna — grudniowa,
Co piekieł urąga mocy,
Wtedy nad starą wierzbą w pustkowiu,
Gwiazda rozbłyska z północy.

Zrazu jak perła jaśnieje droga,
Jak narcyz rozkwita z dala,
Potem jutrzenna tryska pożoga,
Ogniem się niebo zapala.

A na obłoczku usianym w róże,
Co pływa nad czyśca ciemnie,
Stoje w promieniach Dzieciątko Boże,
I pyta: Wierzycie we mnie?

„Wierzymy"! krzykną głoski radośnie,
To lećmy w niebo dziecięta!
Gwar, radość, świegot, by gaj o wiośnie,
A Jezus klaszcze w rączęta.

I pierwsze z brzegu dzieciątko chwyta,
Inne się brata czepiają,
Jako z jaskółek girlanda uwita
W otwarte lecą drzwi raju.

O! jak wysoko... świetliste kółka
Ledwie im widać główeczek,
Ponad wieżycą... wyżej kościółka
Matczyny gdzieś aniołeczek.

I tylko chmurki drżą lilijowe,
Jakby na maju, o świcie
I jakieś głosy płyną echowe
„Jam Prawda, Droga i Życie"!

W grudniu A. Bandrowska.

BOŻE NARODZENIE.

Cały świat chrześcijański obchodzi uroczyście święta Bożego Narodzenia. Nie tylko w każdym zakątku Polski, ale wszędzie, gdzie tylko jest jaka garstka Polaków, schodzą się razem, ażeby we spół zaśpiewać wesołe kolendy, wielbiąc niemi Boże Dziecię. Wychodźcy nasi w Ameryce, ci, którym się dobrze wiedzie, urządzają wigilię, zapraszają na nią biedniejszych współrodaków, ażeby razem podzielić się opłatkiem, życzyć sobie lepszej doli lub powrotu do kraju tym, których tęsknota zagryza, i tak razem złączeni cieszą się jak mogą.

I w dalekich stepach Syberyi, gdzie tyle tysięcy naszych nieszczęśliwych rodaków cierpi najokropniejszą nędzę, gdzie setki ich wymiera z głodu i zimna, w dniu Bożego Narodzenia oni schodzą się razem, smutnemi oczami patrzą w daleką przeszłość, w stronę ukochanej Ojczyzny, i myślą łączą się z tymi, których tam zostawili.

Młodzi, silniejsi duchem, pocieszają tych, którzy już zwątpili o lepszej doli, i wierzą w to, że i dla nich ta betlejemska gwiazda kiedyś zaświeci, i wskaże im drogę, którą powracać będą do ukochanej Ojczyzny.

Rodacy nasi pod zaborem rosyjskim, cieszą się, że po czterdziestu latach zakazu, po-

zwolono im znowu w ojczystym języku modlić się i śpiewać wesołe kolendy.

Tylko nasi rodacy z pod zaboru pruskiego, nie będą mieli wesołych świąt w tym roku, bo dzieciom ich zabraniają uczyć się religii w języku ojczystym, chcą ich gwałtem zniemczyć. Wielu rodzicom poodbierali dzieci, oddając je do zakładów niemieckich na wychowanie. Nauczyciele w szkołach biją dzieci, dręczą je, wymyślając różne kary za nieposłuszeństwo. A dziatwa polska w całem Ks. Poznańskiem trzyma się mężnie, znosi wszelkie katusze, a trwa w swojem postanowieniu. Historya zapisze kiedyś na swych kartach niebywały szczegół: tysiące małych bohaterów polskich, broniących ojczystego języka, a początek do tego dały dzieci z Wrześni na Śląsku.

Boże Narodzenie jest właściwie świętem dzieci, bo Chrystus Pan przyszedł na świat jako małe dzieciątko, pierwsi, którzy mu pokłon oddali, byli mali pastuszkowie, dla tego też rodzice, na te święta, robią dzieciom różne przyjemności, to urządzają jasełka, to ubierają drzewka, obwieszając je różnemi przysmakami, a ucieszona tem dziatwa, wesołe śpiewa kolendy.

My starsi, dorośli duchowo, nie możemy się dzisiaj weselić wraz z tą dziatwą małą, bo czasy są bardzo smutne, bo rodacy nasi z pod obydwóch wrogich nam zaborów cierpią prześladowania. Dlatego też zbliżając się do Was z opłatkiem w ręku, drodzy Czytelnicy i kochane Czytelniczki, życzymy Wam, żebyście te nadchodzące święta szczęśliwie i zdrowo przebyli, a siedząc przy wilii wspomnieli sobie o wszystkich tych nieszczęśliwych naszych rodakach, dla których niestety, oprócz okazania gorącego współczucia, nic zrobić nie możemy. *Redakcya.*

BOHATERSKIE DZIECI.

Naród polski rozszarpany ongi, w chwili osłabienia, przez trzy ościenne mocarstwa, doznaje obecnie w dwóch zaborach: moskiewskim i pruskim strasznego ucisku i prawdziwie trudno powiedzieć, w którym z nich gorszego i niebezpieczniejszego.

Ucisk ten pod panowaniem moskiewskiem ma formy dziksze, krwawsze i gwałtowniejsze, pod pruskiem zato jest bardziej wyszukanym, chytrzejszym i kryje się za pozory prawne konstytucyi pruskiej, która niezbyt liberalna dla samych Prusaków, wobec Polaków jest zbiorem przepisów wyjątkowych, będących zaprzeczeniem wszelkiego prawa i sprawiedliwości.

Dopóki Prusy były słabe i obawiały się Francyi, stosunki w dzielnicach polskich, ulegających ich przemocy, były o tyle znośne, że w szkołach uczęszczanych przez młodzież i dzieci polskie, uczono po polsku oraz, że język nasz tolerowanym był w urzędach i sądach, to znaczy, iż można było wnosić podania po polsku pisane, oraz składać świadectwa i przemawiać w sądach po polsku. Gdy jednak w roku 1870 Prusacy przy pomocy innych Niemców, a niestety i Polaków, żołnierzy w służbie pruskiej z zaboru tamtejszego, dzięki nieopatrzności cesarza Francuzów Napoleona III go Francyę pokonali i tak nastraszyli, że się ich do dziś dnia boi, chociaż ma dwa miliony żołnierzy; nastały w zaborze pruskim dla Polaków nad wyraz smutne czasy. Stopniowo zniesiono wykłady polskie w szkołach i wygnano język polski ze sądów i urzędów. Dziś we wszystkich szkołach, począwszy od najniższych, uczą tam po niemiecku, a w urzędach i sądach nie przyjmują innych podań tylko niemieckie i nie pozwalają inaczej przemawiać tylko po niemiecku. Do szkoły każde dziecko chodzić musi od 6-go do 14-go roku życia, bo jest przymus szkolny, gdzie je wszystkiego po niemiecku uczą i gdzie niewolno mu słówka pisnąć w ojczystym języku. Szkół zaś prywatnych z językiem polskim zupełnie zakładać nie wolno. Ba, nie wolno nawet uczyć dzieci w domu czytania i pisania po polsku. Nauka taka pod Prusakiem to ciężka zbrodnia, za którą idzie się do więzienia, lub płaci grube kary.

Dziki ten, barbarzyński ucisk, ma na celu wynarodowienie Polaków i przerobienie ich na pruskich Niemców, do czego Prusacy nadaremnie dążą od stu lat przeszło, tak samo, jak Moskale, starający się zmoskwicić ciemiężone przez nich ziemie polskie.

To, że wszelkie zakusy zniemczenia Polaków na nic się nie zdały, przyprowadza Prusaków do wściekłości i pobudza do wymyślania coraz nowych sposobów germanizowania. Do niedawna wolno było uczyć dzieci religii po polsku, wolno także było dzieciom modlić się po polsku. Teraz i to zakazano — teraz dziecko polskie, któreby i

słowa po niemiecku nie umiało, musi się w języku tym modlić i uczyć!

Czy można barbarzyństwo i złośliwość dalej posunąć?

To też przebrała się miara niegodziwości — dzieci polskie wyczerpały swą cierpliwość i najpierw w słynnej Wrześni, pod którą w r. 1848, generał Mierosławski na czele polskich powstańców zbił na kwaśne jabłko pięćkroć liczniejszych Prusaków, a następnie i w innych miejscowościach zaboru pruskiego, dzieci oświadczyły nauczycielom, iż ani modlić się po niemiecku, ani uczyć się religii w tym języku nie będą. Pruskie szulmajstry, jak się u Prusaków nauczyciele nazywają, wpadły we wściekłość i biciem starały się dzieci polskie do uległości przymusić; trzeba bowiem wiedzieć, że u Prusaków w szkołach dotychczas kij i rózga panuje i panowie szulmajstry bez przyrządów tych wcale uczyć nie umieją, stosują te przyrządy i do niemieckich dzieci, ale nad naszemi stawiającemi opór, niemieckiemu językowi w religii, znęcają się w zwierzęcy sposób. Rząd pruski zachęca ich do tego, zachęcają ich sądy — niedawno nauczyciel tak zbił ucznia, że ten powróciwszy do domu chory, umarł w ciągu kilkunastu godzin. Wniesiono skargę do sądu, ale sąd pruski nauczyciela — zabójcę uniewinnił! W innem miejscu, znów na Śląsku, zawyrokował sąd, iż dwom robotnikom którzy pochwalali opór swych dzieci przeciw nauce religii w niemieckim języku, należy dzieci te odebrać i oddać je na wychowanie do niemieckich zakładów wychowawczych!

Mimo tak straszliwych znęcań i stosowania tak barbarzyńskich i nieludzkich środków, dzieci polskie się nie ulękły. Dziś stawia opór s t o t y s i ę c y tych małych męczenników i stawia skutecznie.

Ujął się za niemi świeżo zmarły arcybiskup poznański, ś. p. ks. Stablewski, ujęli się posłowie polscy w parlamencie niemieckim i wywołali rozprawę, w której obok nich stanęli po stronie dzieci naszych nietylko posłowie alzaccy i duńscy, lecz nawet większość posłów niemieckich. Wszyscy oni przyznali, że postępowanie Prusaków z dziećmi naszemi jest barbarzyństwem, okrywającem hańbą imię niemieckie.

Trzeba tutaj przypomnąć, iż państwo niemieckie składa się z kilkunastu księstw i królestw, z których każde ma swój rząd i sejm miejscowy, wszystkie zaś razem posiadają w Berlinie rząd wspólny niemiecki i niemiecki parlament; otóż wspomniane wyżej rozprawy toczyły się w tym wspólnym niemieckim parlamencie, czyli sejmie i w nim sprawa dzieci polskich odniosła moralne zwycięstwo, okazało się bowiem przed światem całym bezprawie i barbarzyństwo pruskie.

Parlament ten gdyby chciał szczerze, mógłby Prusaków zmusić do zaprzestania prześladowania dzieci polskich — lecz niema się co łudzić, nie uczyni tego, bo Niemiec zawsze Niemcem, czy on w pruskiej, bawarskiej, saksońskiej lub innej niemieckiej skórze, a kruk krukowi oka nie wykole. Odniesione jednak zwycięstwo nie może pozostać bez skutków i prędzej, lub później wytrwały opór bohaterskich dzieci naszych musi uwieńczyć skutek pomyślny. *Inż. E. Smiałowski.*

POD KRZYŻEM.

Pod krzyżem klęczy dziateczek gromada,
I składa ręce smagane przez wroga,
I śpiewa smutnie, błagając ze łzami
Zmiłuj się zmiłuj o Boże nad nami.

Ojcze nasz miły, cośmy zawinili,
Cóżeśmy Panie złego uczynili,
Że nam nie wolno po polsku się modlić,
Po polsku swemi pieśniami Cię chwalić.

Zabraniają nam w naszej polskiej ziemi
Chwalić Cię Boże pieśniami naszemi,
Chcą, byśmy w obcej mowie Cię chwalili,
I po niemiecku Ojcze nasz mówili.

Gdy się wzbraniamy w szkole przed nauką
Ojcze nasz mówić tą niemiecką sztuką,
Aresztują nas, że Ciebie kochamy,
Że się do Ciebie po polsku modlimy.

O Boże drogi! Zmiłuj się nad nami,
Zmiłuj się, zlituj nad Polski synami,
Ślubujemy Ci bronić świętą wiarę,
Chcemy zachować piękną polską gwarę.

Najświętsza Matko! Panno z Jasnej Góry,
Wejrzyj łaskawie na nasz naród który
Cierpi dla wiary, cierpi dla języka,
A wróg okrutny coraz bardziej nęka.

Nie dość mu na tem, że nam ziemię
I wielu braci z własnej roli wygnał.

Teraz najświętsze skarby nam zabiera,
Wiarę i język przemocą wydziera.

Racz nas wysłuchać o nasz dobry Boże,
Bo oprócz Ciebie nikt nam nie pomoże,
Nas przyjaciele dawno opuścili
I wśród klęsk wielkich samych zostawili.

Wł. Smuciński.

STARY ROK.

Przez zagony, przez doliny
Idzie jakiś dziadek siwy,
Wiatr dmie silny, śnieg wciąż sypie,
A on idzie w mróz straszliwy,
Mija góry, lasy, rzeki,
Poprzez piękne nasze sioła,
Nie spocząwszy, dalej spieszy,
Bo go z ziemi dziś Bóg woła:
— Chodź tu roku, stary roku,
— Życie twoje już skończone,
— Nowe dni, tygodnie nowe
— Już nad ziemią rozwieszone.
Stary rok się śpieszy, wraca,
I przed tronem Boga staje...
Radość skroni nie ozłaca
Wielkich zasług on nie daje.
— Ludzie czasu nie szanują —
Stary rok ze łzą się skarży...
Pochylony, księgę składa,
Żałość widna mu na twarzy.
— Ludzie mówią — ciężkie czasy,
— Narzekają jak rok długi,
— A poprawić win swych nie chcą
— W mieście, na wsi, państwo, sługi,
— Nie wybaczy nikt drugiemu.
— Nie wyrzeknie się nikt pychy,
— Każdy grosza szuka chciwie,
— Zarobek im każdy lichy.
— Nie zebrałem plonu cnoty,
— Nie przyniosłem liczb zasługi,
— Bo na kartach obowiązków
— Same winy, same długi,
— Ludzie na mnie narzekają,
— Mówią, żem niósł ciężkie czasy.
— Więc z łzą wracam, cnót nie niosę,
— Ludzie chcą mieć grosz i kasy.
A Pan świata na to rzecze:
— Idź, spoczywaj, roku stary ..
— Wszystko dałeś jako trzeba,
— Wypełniłeś czas do miary,
— Kto chce tylko żyć, używać,
— Temu każdy rok za krótki ..
— Ten, miast szczęścia i wesela,
— Zbierać będzie same smutki.
— Nie ty, roku, niesiesz szczęście,
— Ale w każdej życia chwili,
— Szczęście znajdą ci, co w pracy
— I wśród zasług będą żyli...
— Niech nie mówi nikt, że czasy
— Cięższe, niźli dawniej były...
— Tylko ludzie zleniwieli,
— Nie chcą wzmacniać ducha, siły...
...Poszedł smutny staruszyna
I już nigdy nie powróci...
A rok nowy spieszy żwawy
I nadziei piosnkę nuci ..
Jak tam będzie, z czem on wróci,
Gdy zawoła go Pan świata?...
Ha! Któż zgadnie!!... Może ludzie
Będą mieli lepsze lata!

J. S.

POLSKA I JEJ GRANICE.

Bolesław II., syn Kazimierza Odnowiciela, zasłużenie „Śmiałym“ nazwany, z wielu względów godzien stanąć obok pradziada swojego, Bolesława Chrobrego, był znakomitym wodzem, rycerzem i politykiem. Objąwszy rządy jako 16 letni młodzieniec, wnet zajaśniał umiejętnem prowadzeniem spraw kraju i licznemi zwycięstwami, odniesionemi nad Węgrami, Czechami, Prusakami i książętami ruskimi. Dzięki zwycięstwom jego znów Polska odzyskała zakreślone jej przez Chrobrego granice i stała się potężną i szanowaną. Stosunki jej jednak wewnętrzne były mniej szczęśliwe, niż za Chrobrego, rycerze bowiem, których wśród ciągłych bojów namnożyło się nad miarę, coraz więcej praw sobie przywłaszczali, co wywoływało niezadowolenie wśród kmieci-rolników. Powstały stąd niepokoje w kraju, z których Bolesław Śmiały postanowił korzystać, w celu upokorzenia możniejszych rycerzy i osiągnięcia całkiem nieograniczonej władzy. Wśród nieustannych wojen przywykł do rozkazywania żołnierzom, przywykł do tego, że w obozie wola jego, jako wola wodza, była prawem i rad był, iżby i jako król był samowładnym panem. Otoczył więc rolników szczególniejszą opieką, a rycerzy starał się ukrócić. Wywołało to wśród

rycerstwa i trzymającego z niem wyższego duchowieństwa, ogromne niezadowolenie i opór przeciw królowi. Utworzyło się stronnictwo, przeciwne jego zamiarom, pod przewodnictwem biskupa krakowskiego, Stanisława Szczepanowskiego, który nie mogąc nakłonić króla do zaniechania tych zamiarów, rzucił nań klątwę kościelną i postanowił usunąć go z tronu. Król popędliwy i nieznoszący oporu, oddał biskupa pod sąd i kazał go zabić, dn. 8 maja, 1079 r. Naród nasz jest łagodnym, daje się łatwo powodować dobrocią i sprawiedliwością, ale oburza go srogie i surowe postępowanie — to też krwawy czyn królewski, który gdzieindziej, naprzykład wśród Niemców, byłby może umocnił króla na tronie, u nas zamiast rzucenia postrachu na przeciwne królowi stronnictwo, wywołał powszechne oburzenie i odwrócił od Bolesława serca narodu. Wkrótce panowanie tego dzielnego zresztą króla, stało się w Polsce niemożliwem. Już w r. 1080 musiał Bolesław opuścić ojczyznę, by więcej do niej nie wrócić. Umarł w Węgrzech, na tułactwie, w sile wieku, bo zaledwie lat 40 licząc. Syn jego Mieczysław, młodzian pełen nadziei, nie zasiadł już na tronie ojcowskim, zakończył życie na Rusi w r. 1089, licząc lat dwadzieścia. Wszystko to wpłynęło nadzwyczaj niekorzystnie na losy Polski. Na tronie jej zasiadł brat Bolesława Śmiałego, Władysław Herman, człowiek słabego charakteru, ulegający wpływom innych, a szczególnie wojewody Sieciecha, który w rzeczywistości rządził krajem, pod powagą imienia królewskiego, nie zapominając o swoich interesach. To też w czasie dwudziestoletniego panowania Władysława Hermana, potęga Polski znacznie osłabła, a granice jej zacieśniły się do wymiarów, jakie miały za Mieczysława I.

Potęgę tę dźwignął na nowo, a granice rozprzestrzenił syn Władysława Hermana, Bolesław III, Krzywoustym zwany. Historya nas uczy, że dzieci wielkich ludzi najczęściej miernemi bywają, natomiast zdarza się nieraz, iż ludzie zwykli, przeciętni, lub nawet mierni, mają potomstwo genialne, a przynajmniej szczególnie uzdolnione. Ten ostatni wypadek zachodził właśnie u Władysława Hermana. Syn jego Bolesław utrzymał w całej pełni tradycyę wielkości naszych Bolesławów. Od najwcześniejszej młodości odznaczał się nadzwyczajną siłą i skłonnościami rycerskiemi; mając lat dziewięć brał już udział w wyprawach wojennych, a jako szesnastoletni młodzieniec, dowodził wojskiem i odnosił świetne zwycięstwa.

Dzielny ten młodzian, objąwszy rządy w r. 1102, po śmierci ojca, wnet musiał stawić czoło licznym wrogom, którzy rachując na jego młodość i niedoświadczenie, zewsząd Polskę napadli, przekonali się jednak, że władzca tego kraju, noszący Bolesława imię, musi być dzielnym i zwycięskim. Bolesław Krzywousty, nazwany tak od ust, wskutek przebytej choroby skrzywionych, gromił wrogów zwycięsko. Odzyskał Pomorze, pokonał najeżdżających Polskę Prusaków i Czechów.

W r. 1109 wydał wojnę Polsce cesarz niemiecki, Henryk V., wkroczył w kraj nasz z całą swoją potęgą i obległ miasto Głogów, nad rzeką Odrą.

Głogowianie, chcąc zyskać na czasie, w celu umocnienia obronnych murów miasta i porozumienia się z królem Bolesławem, zażądali kilkudniowego rozejmu. Cesarz przystał na to żądanie, ale pod warunkiem, iż najznakomitsi mieszkańcy Głogowa, dadzą mu na czas rozejmu, w zakład dotrzymania tegoż, dzieci swoje. Gdy rozejm upłynął i Głogowianie, stosownie do umówionych warunków, zażądali zwrotu dzieci, cesarz z urąganiem odpowiedział im, że niegłupi dzieci oddawać, raz dostawszy je w ręce — odda je, skoro Głogowianie miasto poddadzą, w przeciwnym zaś razie pośle do szturmu poprzywiązywane do machin oblężniczych; niech wówczas Głogowianie probują się bronić.

Jakoż następnego dnia wykonał swą groźbę, lecz bohaterskie dzieci, widząc swoich ojców uzbrojonych na murach miasta, wołały na nich, by nie uważając na nic, szturm odparli. My polegniemy – wołały — ale Głogów będzie ocalony! Biedni ojcowie, przenosząc śmierć własnych dzieci nad niewolę i sprzeniewierzenie się sprawie narodowej, stawili zacięty opór — dzieci ukochane z własnych ich rąk śmierć poniosły, ale szturm odparto zwycięsko.

Tymczasem nadciągnął Bolesław Krzywousty z wojskiem i zaczął cesarza nękać wojną podjazdową. Głogowianie również trapili wojsko cesarskie zwycięskiemi wycieczkami. Wkrótce musiał cesarz odstąpić od Głogowa i cofnął się na południe pod Wrocław. Tu przyszło do walnej rozprawy — czterdzieści tysięcy Niemców pokryło plac boju trupami, a reszta z cesarzem pierzchła i nie oparła się aż w głębi Niemiec. Rycerstwo nasze poszło w pogoń za Niemcami, a gdy trupów ich to-

warzyszy nie miał na razie kto pochować, zbiegły się do nich tysiące psów i pożerały tak, że odtąd plac tego zwycięstwa polskiego zaczęto nazywać Psiem polem.

Bolesław w walkach z ruskimi książętami równie był szczęśliwym i w ciągu trzydziestu sześciu lat panowania swojego, przywrócił dawny blask potędze Polski, a granice jej tak rozszerzył, że znów sięgała od Karpat, na południu, do morza bałtyckiego na północy, od stepów ukraińskich na wschodzie, poza rzekę Odrę na zachodzie, nieopodal brzegów Elby.

W latach wolnych od wojen, pomiędzy rokiem 1126. a 1131., oraz na parę lat przed śmiercią swoją, która nastąpiła w r. 1138, Bolesław zajmował się pilnie sprawami wewnętrznemi Polski, zaprowadzeniem ulepszonego ładu i porządku, oraz zakładaniem klasztorów, które naówczas były siedliskami oświaty i cywilizacyi. Umierając popełnił jednak czyn nierozważny i błąd ogromny — podzielił kraj pomiędzy czterech synów, przez co ściągnął na Polskę długie lata klęsk, cierpień i niepowodzeń.

Inż. E. Śmiałowski.

JAKOB HODUR:

OSTATNI SIEW.

— Pamiętaj, żebyś mi nigdzie nie odchodziła od domu i pilnowała dziecka, a gęsi popaś jeszcze nad potokiem, niech się potem wykąpią w strudze. A jakby dziadek chcieli iść w pole, to ich przytrzymaj, za rękę weź i na pogródce posadź.

— A gdzie wy, kumosiu, pod wieczór się jeszcze bierzecie?

— Lecę co tchu trawy narwać na uwrociu, bo cały dzień nie było czasu — tyle roboty.

— Swarna, jak widzę, ta Wikta — biedactwo, sierotka znalazła u was kiejby dom matczyny.

— A no tak — nam się przyda, a ona się nie błąka pomiędzy ludźmi obcymi, przecie to krewna. Chałupy, gęsi przyjrzy już, a i na dziadka da pozór, bo ino w pole i w pole się wyrywają. Nie uwierzylibyście kumosiu, tacy starzy, niedowidzą, jakaś powłoka zaszła im na oczy, nożyska już stwardniały tak, że ich zgiąć nie mogą, a ino do pola.

Tyle z nimi subjekcyi, bo byleka się przewalą na zagonie i leżą, a wstać o swojej mocy nie wstaną. A tu przecie niema czasu za nimi chodzić, a w izbie nie radzi siedzą — zamknąć ich przecie nijako. — Wiktusia im pomaga czasem, jak idą w pole, ale to jeszcze małe, to ich nie udźwignie, jak się obalą.

Ale wiecie, nie mam czasu, porajcowałybyśmy sobie, kiebyście szli w tę stronę, co ja.

— Kiedyby mój stary na mnie klął, bo kazał mi przyjść nad wieczorem na pole, pograbić trochę perzu, bo ładnie się dzisiaj zawlekło — pogoda, trza się spieszyć.

— A i mój zorał po południu te kliny za ogrodem, zasieje mieszanki.

— Co by też nie!

*

Obojętny na rozmowę kobiet, siedział na przyźbie starzec, głuchy już na wszystko.

Wstał z wielkim trudem, bo w nogach już mało zostało mu władzy — i począł iść pomaleńku, utykając, w stronę zoranej ziemi. Wietrzyk łagodny, zaledwie wyczuwalny przynosił woń ziemi — tę woń, którą on się karmił, rozkoszował tyle lat. On ją zna. – Tam go ciągnie siła jakaś na tę rolę, nie oprze się, więc idzie. — Ostatkiem sił idzie — bo musi...

— Dziadusiu! – woła Wikta, — nie chodźcie! O dziadusiu, usłuchajcie mnie, bo się znowu przewrócicie — wróćcie się, na pogródce siądźcie.

Lecz dziaduś idzie już raźniej — w zagasłych źrenicach, jakby przebłysk życia — twarz zamarła, zastygła, nabiera ruchu, — głowa przed chwilą zupełnie na piersi spuszczona, podniosła się wyżej.

Idzie, jakby nadziemską wsparty mocą, wprost ku wonnej skibie.

Im bliżej roli, tem w całej jego postaci wyraźniejsze wzruszenie.

Doszedł z płomienną już twarzą, z uśmiechem szczęścia.

— O moja ziemio — karmicielko — o święta!...

I począł nadeptywać bosą nogą pulchne grudki, wygrzane słońcem. Schylił się z trudem, przyklęknął, oparł się łokciami, przyłożył twarz pieszczotliwie do miękkiej ziemi brał ją w dłonie, przez palce przesypywał, pieścił się i śmiał.

Ręką wyczuwał kształt zagona, a sprawdziwszy, że okrągluteńki — kiwał głową z radości, bo to jego wnuk tak orze — jak orał on.

Drżącą ręką począł szukać wkoło siebie, w kieszeniach, w podołku -- — znalazł. Z tryumfem wkoło siebie się popatrzył i wstał — wyprostował się.

Była to postać wspaniała, wyolbrzymiała, oblana promieniami słońca zachodzącego — cień tej postaci zalegał pół stajania.

Jak widmo chudy — lecz jakiś przepotężny na tym łanie.

Tryumfował, bo trzymał w dłoni... ziarno.

Więc przyjął postawę siewacza, więc się przeżegnał, spuścił prawą rękę w dół, zatoczył nią półkole i puścił ziarno przez palce jak grad brylantów.

...Posuwał się machinalnie i siał...

A słońce drżące patrzało nań radośnie, a muszki igrały nad jego głową i śpiewał ptak..

Zabrakło mu ziarna, więc stanął — i opadły mu ręce — postać cała zaczęła się kurczyć, giąć, w źrenicach gasło światło — z twarzy znikło wesele.

I stał długo... nie mógł ruszyć się z miejsca. Począł zapadać zmrok... on stał... chciał iść — nie miał sił.

Wracający z pola domownicy nadbiegli, a wziąwszy go pod ręce zanieśli do domu i ostrożnie złożyli starca, który nie chciał ich słuchać i wychodził w pole na ich utrapienie.

ZWIERZĘTA POŻYTECZNE.

Sowy.

Sowy nie należą do ptaków, cieszących się miłością ludzką. Przeciwnie, mają nawet bardzo dużo niechętnych, nie dlatego wprawdzie, aby ktokolwiek uważał sowę za ptaka szkodliwego, lecz dlatego, że na bardzo wiele osób sprawia niemiłe wrażenie nocny sposób życia tych stworzeń, a także ponury ich głos, rozlegający się w ciemności i napełniający strachem ludzi przesądnych.

Ludzie zabobonni uważają głos sowy za jakieś odzywanie się duchów, wierzą, iż obwieszcza on nieszczęście, mające nastąpić, zapowiada śmierć kogoś z obecnych, wywołuje kogoś na cmentarz: „Sowa raz na dachu kwili, umrzeć komuś po chwili".

Z tego powodu sowę spotykają nawet nieraz prześladowania i niejeden zabija tego ptaka, żeby nie słyszeć więcej jego ponurych przepowiedni.

Wystarczy jednak zastanowić się nieco, aby rozumieć, iż niema żadnego sensu uważać sowę za zwiastunkę nieszczęść. Cóż bowiem może mieć ten ptak wspólnego z życiem lub śmiercią ludzi? Skąd mógłby on posiadać nadprzyrodzoną moc przepowiadania ludziom nieszczęść?

Że sowa lata tylko w nocy, zależy to od budowy jej oczu, które posiadają ogromną źrenicę, wpuszczającą do środka bardzo dużo światła. Dzięki temu sowa widzi doskonale nawet przy słabem świetle nocy. Ale za to w dzień, gdy słońce obficie rozlewa promienie, dostaje się ich tyle do jej oczu, iż oślepiają ją one i sowa nie może wtedy nic widzieć, zupełnie tak samo, jak człowiek, który spoglądał przez jakiś czas na bardzo silny blask.

Dlatego to w dzień sowy wyszukują ciemnych zakątków i kryją się w nich, oczekując zmierzchu. Tylko niektóre gatunki tych ptaków, obdarzone nieco mniejszą źrenicą, wylatują czasami nawet za dnia.

Zamiłowanie więc ciemności i nocny sposób życia zależy jedynie od budowy oczu tego ptaka, a nie od jakichś tajemniczych jego własności.

Osiedlanie się w sąsiedztwie ludzi, strzechach, a przynajmniej w sąsiedztwie budynków gospodarskich również nie jest trudne do wytłómaczenia: główne pożywienie sów stanowią myszy, a że w zabudowaniach i w ich najbliższem sąsiedztwie znajduje się zawsze najwięcej tych szkodników, więc też sowy trzymają się również tych miejsc. Nocne obyczaje pozwalają im łatwo zaspokoić ten gust do mięsa mysiego, ponieważ i myszy najwięcej się kręcą w nocy.

Schwytawszy mysz lub inne drobne zwierzątko, sowa nie rozszarpuje jej na kawałki, lecz połyka wraz ze skórą i kości, z sierścią, jeśli to jest zwierzątko czworonożne lub z pierzem, jeśli to jest mały ptaszek. Mięso i skórę strawi, ale kości, sierść i pióra pozostają niestrawione i zbijają się w żołądku w kłębek. Kłębek taki powiększa się po drugiem i trzeciem spożytem zwierzątku, a gdy już dosięgnie pewnej wielkości, odbija się sowie, wraca z żołądka do dzióba i ptak go wypluwa.

Uczeni zajęli się rozpatrzeniem zawartości

tych kłębków, zbadaniem włosów i kotab, z których się one składają, żeby w ten sposób poznać dokładnie, czem sowa się żywi i czy jest ona ptakiem pożytecznym czy też nie.

Pewien uczony, nazwiskiem Altem, zbadał bardzo szczegółowo zawartość 706 kłębków wyplutych przez jedną sowę, i znalazł w nich szczątki 933 myszy, a tylko 22 ptaszków. W 210 kłębkach, wyplutych przez puszczyka, znajdowały się resztki 244 myszy, 18 ptaszków i niezliczona ilość pokrzyw oraz twardych nóżek rozmaitych chrząszczów.

Takie same badania robili inni uczeni i wszyscy przyszli do jednakowych wniosków, że główny pokarm sów stanowią myszy, że tępią je one w ogromnych ilościach. O szkodliwości myszy zaś nikt przecie nie wątpi, a więc nikt nie powinien wątpić o wielkim pożytku sów.

Szczególnie zaś pożyteczne są one dla rolnika, chronią bowiem jego dobytek w spichrzach i stodołach od tych szkodliwych stworzeń, które nieraz w krótkim czasie potrafią zniszczyć w znacznej części plony ludzkiej pracy; któż z nas nie widział, a przynajmniej nie słyszał o klęskach mysich, kiedy w którym roku zjawią się te szkodniki w nieprzejrzanych ilościach na polu, a następnie stamtąd po żniwach i zwiezieniu plonów przeniosą się do wsi? Jakże wówczas pożyteczną współmieszkańcom okaże się sowa, która zechce osiedlić się gdzieś na poddaszu lub w dziuplastem drzewie w sąsiedztwie budynków gospodarskich i w czasie nocnych polowań dziesiątkować będzie myszy.

To też rolnik powinien pamiętać zawsze o wielkiej pożyteczności tych ptaków i nie tylko nie robić im żadnej krzywdy, lecz przeciwnie opiekować się nawet niemi i ochraniać je. A postępując tak, będzie wyświadczał przysługę nie sowom, lecz sobie samemu, ptaki te bowiem niszczeniem myszy wypłacą mu się stokrotnie za doznaną opiekę i ochronę.

B. Dyakowski.

WIEŚCI ZE ŚWIATA.

Jubileusz Elizy Orzeszkowej.

W b. r. upływa 40 lat od chwili, gdy młodziutka naówczas kobieta — nieznana jeszcze szerszemu ogółowi społeczeństwa naszego — odważnie, śmiało i z zapałem wystąpiła z dziełem ducha swego, z książką przez siebie napisaną i odrazu stanęła na stanowisku dzielnej szermierki za sprawy uciśnionych, pokrzywdzonych i nieuświadomionych sióstr swoich...

Eliza Orzeszkowa od wczesnej bardzo młodości gorącem swem sercem ukochała tych wszystkich, którym uznane zwyczaje i prawa krzywdę w życiu czynią — zrozumiała ich niedolę i w imię sprawiedliwości ujęła się za nimi głośno, jasno i dobitnie omawiając sprawy, które są złe, a powinny i muszą kiedyś stać się dobremi.

Wielka jej i wspaniałomyślna dusza najdokładniej umiała wnikać w tajnie dusz innych ludzi — a serce jej ogniem szczerego uczucia gorejące, oddźwiękiem głośnym odpowiadało każdemu płaczowi, każdej skardze i każdemu westchnieniu ludzkiemu.

To też książki, przez długich lat czterdzieści w świat z pod pióra jej wychodzące, były i są zawsze echem bólów i cierpień ogółu, ale są one i drogowskazem, jak żyć, co ukochać, czemu się poświęcić należy — jakie ideały wnieść do przybytku ducha, aby wyzwolić się z upadku i poniżenia, z nędzy i błota, a wznieść w sfery szczęścia i zadowolenia wyższego — w krainy dobra i piękna, w światy bezwzględnej użyteczności i ofiarności dla drugich.

Za taką jej wydatną i wielką w skutki pożądane dla ojczyzny działalność, uroczyście obchodzić będzie wdzięczny naród czterdziestolecie pracy literackiej i obywatelskiej Elizy Orzeszkowej i jako najlepszej Polce złoży w dzień jej jubileuszu hołdu i czci najgłębszej dowody.

I Wy, Kochani Czytelnicy, złączcie się w tem z nami i okażcie, że czujecie i rozumiecie, co należy oddać Tej, która, umiłowawszy ponad wszystko nieszczęśliwych, wszelkiemi siłami swego twórczego ducha dąży do zwalczenia samegoż nieszczęścia.

Redakcya „Przodownicy" przesyła Wam w załączeniu arkusze adresowe, które wypełnijcie podpisami i słowami uznania a miłości

dla Tej, która była i jest Waszą najszczerszą przyjaciółką.

Po zapełnieniu odsyłajcie nam te arkusze najpóźniej do 15 stycznia, a my w Waszem imieniu złożymy je w dniu uroczystości Czcigodnej Jubilatce.

Zbrodnie pruskie.

Kronika męczeństwa ludu polskiego w granicach państwa pruskiego, staje się coraz obfitsza w straszne, a nawet krwawe wypadki. Hasło tępienia Polaków, wydane przez rząd i oszołomioną szowinizmem „inteligencyę“ hakatystyczną, znajduje wdzięczny oddźwięk w brutalnej naturze szerokich mas niemieckich. Dziś już utarło się mniemanie, że względem Polaków bezkarnie zupełnie pozwalać sobie można na każdy gwałt, na wszelkiego rodzaju bezprawie. I wobec tego stosunki układają się tak, że nie tylko już narodowym właściwościom ludności polskiej, lecz też życiu i mieniu każdego Polaka grozi poważne niebezpieczeństwo.

Z dzienników naszych wiecie już zapewne o strasznej zbrodni, popełnionej przez pijanych żołdaków pruskich na robotniku Izydorczyku we wsi Radlinie pod Jarocinem. Trzech ułanów, ze stojącego tam kwaterą pułku, napadło na wracających spokojnie robotników polskich z tej jedynie przyczyny, że robotnicy ci rozmawiali po polsku. Jednego z nich, owego Izydorczyka, starca 60-letniego, zabito wydartą mu łopatą, innego robotnika, Paterkę, poraniono. Ciało zamordowanego przedstawia widok okropny: żołnierze pastwili się jeszcze nad swoją ofiarą, gdy już wyzionęła ducha. Zbrodnię tę popełniono na drodze we wsi, w pobliżu mieszkań ludzkich, niedaleko kwatery dowódcy pułku. Oficer ten, jakkolwiek tej samej nocy zawiadomiony został przez miejscowego proboszcza o popełnionej zbrodni, nie uważał wcale za stosowne aresztować zbrodniarzy. Dokonał tego dopiero nazajutrz żandarm.

Tuż obok zamordowanego znaleziono furażerkę żołnierską, nadto nie brakuje świadków zbrodni. A jednak wątpliwą jest rzeczą, czy winnych spotka zasłużona kara, gdyż dziś i sądy pruskie widzą w tem okoliczności łagodzące, gdy ofiara zbrodni, popełnionej przez Niemca, jest „tylko Polakiem“.

O innej, podobnej zbrodni, donoszą pisma niemieckie z Księstwa Anhalt. Tam we wsi Lattdorf, u niejakiego Henniga, pracowało kilkanaście dziewcząt polskich z Królestwa. Ponieważ Hennig krzywdził je na każdym kroku, dziewczęta te postanowiły wrócić do domu. Lecz pająk niemiecki nie tak łatwo wypuszcza ze swej sieci polskie ofiary. Hennig wezwał na pomoc policyanta wiejskiego i kilku innych drabów i gwałtem usiłował zmusić biedne dziewczęta do pozostania w niewolniczej służbie. A gdy się opierały, kilka z nich, między innemi niejaką Mielcarkównę, zbito w najokropniejszy sposób, poczem wszystkie zamknięto w areszcie. Nawet niektóre tamtejsze pisma niemieckie oburzają się na ten akt brutalnej przemocy, lecz i w tym wypadku sprawcy ujdą zapewnie bezkarnie. Przecież to „tylko Polki!“ — a niema konsulatu lub ambasady, któraby się za niemi ujęła.

U nas w Księstwie znowu na porządku dziennym męczeństwo dzieci polskich. Co chwilę donoszą to stąd, to zowąd o okrutnem katowaniu uczniów i uczenic polskich za opór przeciwko niemieckiej nauce religii. A biada rodzicom, którzy odważą się czynnie bronić swoje dzieci. Cierpią za to nie tylko oni sami, lecz całe ich gminy. Wypadek taki wydarzył się świeżo we wsi Ojrzanowie. Tam doprowadzony do rozpaczy ojciec skatowanego kilkakrotnie ucznia, niejaki Wiatrowski, z pałką w ręku podobno rzucił się na nauczyciela. Bohaterskiego krzewiciela niemczyzny ochronił przed zemstą zrozpaczonego ojca inny nauczyciel zapomocą... rewolweru. A jaki skutek tego zajścia? Ojciec polski stanie przed sądem, gminie zaś ma być odebraną subwencya na szkołę, tak, że wszelkie koszta jej utrzymania spadną odtąd wyłącznie na nią, a nadto narzucony jej zostanie jeszcze jeden niemiecki nauczyciel, aby w trójkę łatwiej bronić się mogli!

Zaprawdę, jaskrawa to illustracya do tak sławnych „porządków pruskich“. Czy Europa, która tak się oburza na gwałty Kurdów i Baszybożuków tureckich w Macedonii i Armenii, nie widzi, co się dzieje w „najkulturalniejszem“ państwie europejskiem?

Sprawę walki o polską naukę religii w zaborze pruskim Niemcy nazywają owocem sztucznej agitacyi ze strony polskiej, co rząd pruski ma wszelkie prawo zwalczać stanowczo.

Wykazują tedy, że już rozporządzeniem z dnia 24 października r. 1873 zaprowadzo-

no we wszystkich szkołach ludowych w Poznańskiem niemiecki język wykładowy. Tylko dla nauki religii dla dzieci, których językiem ojczystym jest język polski, język ten był przepisany jako wykładowy. Gdy jednakże dzieci przyswoją sobie już dostateczną znajomość języka niemieckiego „za zezwoleniem“ rządu ma także nauka religii w klasach średnich i wyższych odbywać się w języku niemieckim.

Chcą oni uzasadnić konieczność tego rozrozporządzenia i wskazują na to, że aż do b. r. z wyjątkiem zajścia wrzesińskiego zarówno dzieci w szkole, jak i rodzice we wszystkich wypadkach zgodzili się bardzo rychło na zaprowadzenie niemieckiego wykładu religii. Dopiero powodzenie polskich agitatorów w Rosyi na polu strejku szkolnego także w Poznańskiem w celach narodowych polskich. Myśl ta nie znalazła w początku szczerego posłuchu, dopiero w lipcu b. r. rozpoczęli pruscy agitatorzy występować gwałtownie przeciw powyżej wspomnianym przepisom. Niebezpieczny charakter przybrał strejk szkolny, gdy arcybiskup gnieźnieński bezpośrednio przed rozpoczęciem nauki w szkołach, kazał odczytać ze wszystkich ambon list pasterski, w którym żalił się na niedostateczną naukę religii w szkołach ludowych i wzywał dyecezyan do uzupełnienia jej przez naukę w domu i w kościele.

Przedewszystkiem stwierdzić nam wypada, że strejk szkolny w zaborze pruskim nie został wywołany sztucznie przez politycznych agitatorów, lecz powstał zupełnie nagle i wyszedł wyłącznie od dzieci. Przed kilku miesiącami dzieci pewnej szkoły zupełnie nagle z własnego popędu, oddały niemieckie podręczniki i zaprzestały odpowiadać na niemieckie pytania z religii. Prasa polska dowiedziała się o tem już jako o fakcie dokonanym. Za przykładem tych dzieci poszły inne. I rzecz to zupełnie naturalna. Serca rodziców i dzieci zanadto już były przepełnione goryczą i rozpaczą z powodu brutalnej działalności germanizacyjnej szkół pruskich. Zanadto boleśnie odczuwały wyszydzanie w nich i deptanie wszystkiego, co dla nich święte i drogie, i małej więc tylko iskry potrzeba było, aby płomień rozgoryczenia wybuchł gwałtownie na zewnątrz. Że zaś prasa i duchowieństwo polskie wówczas stanęły po stronie walczących o swoje przyrodzone prawa rodziców i dzieci, było to jedynie ich obowiązkiem.

Nieprawdą jest dalej, jakoby ludność polska „rychło“ zgodziła się była na niemiecki wykład nawet w nauce religii. Od długich lat bowiem rodzice tysiącami podań i próśb zwracali się przeciwko temu zarządzeniu, a czynili to corocznie także posłowie polscy w Sejmie pruskim. Nawet władza duchowna żądała bezustannie przywrócenia polskiej nauki religii i dopiero gdy rząd odrzucił wszelkie jej starania, arcybiskup ks. Stalewski wydał znany swój okólnik.

Żal serce ściska na myśl ciężkich cierpień, jakie czekają znów zabór pruski. Bo jasnem jest, że męczenników będzie tam legion cały.

Walka o polskie dzieci.

Wiadomo, iż od pewnego czasu, dzieci polskie pod zaborem pruskim, nie chcą uczyć się religii w języku niemieckim, a że dziatwa ta wyrosła na bohaterów i solidaryzuje się z sobą i wszystkie kary wymierzone jej za nieposłuszeństwo chętnie ponosi i trzyma się dzielnie, powstał z tego gwałt wielki. Dzienniki niemieckie obliczają na podstawie urzędowych doniesień, że w oporze przeciwko religii w języku niemieckim, bierze udział w Księstwie Poznańskiem 100.000 dzieci polskich. W rzeczywistości, jest tych małych bohaterów znacznie więcej.

W tych dniach, jak donoszą dzienniki berlińskie, ma przyjechać do Poznania minister oświaty, w celu zbadania sprawy na miejscu. Na osobisty rozkaz cesarza Wilhelma, władze szkolne w Poznańskiem donosić muszą codziennie telegraficznie, wszelkie szczegóły o tym strejku szkolnym. Policyi w Poznaniu wydano ostre rozkazy, ażeby aresztowano wszystkich, którzyby w obronie katowanych za opór dzieci, odważyli się wejść do budynku szkolnego.

Całe Księstwo Poznańskie w ogniu. Wszędzie odbywają się wiece, poruszenie i oburzenie umysłów ogromne.

Za znęcanie się nad polskimi robotnikami.

Przed sądem pruskim w Głogowie na Dolnym Śląsku, toczyła się rozprawa przeciwko niejakiemu Rindfleischowi, właścicielowi dóbr, któremu zarzucono, iż spowodował śmierć polskiej robotnicy z Galicyi. niejakiej Rod-

kównej, przez pobicie jej w okrutny sposób. — Jakkolwiek Rindfleisch karanym był już kilka razy za znęcanie się nad robotnikami, jakkolwiek i w tym wypadku stwierdzono jego winę, sąd pruski skazał go tylko na 600 marek grzywny, ponieważ ofiara jego brutalności była tylko — Polką!

Strejki w Prusach.

Dotąd cieszyli się Prusacy, że pod żelazną ręką ich panującego, w całym kraju spokój jest niezamącony. Dziś, polskie dzieci pierwsze zaczynają im stawiać czoło, a także dowiadujemy się, iż w Berlinie, w jednej z większych fabryk, dyrekcya chciała wydalić tych robotników, którzy stoją na czele związku robotniczego. Na to wszyscy robotnicy w liczbie przeszło 1.000 rozpoczęli strejk.

„Wyzwolenie".

Pod tym tytułem wychodzi w Krakowie pisemko bardzo pouczające ku zwalczaniu alkoholu i poprawie obyczajów. A wiadomo, iż dwa te straszne nałogi zagnieździły się w naszym kraju i jak grzyb toczy młode, zdrowe drzewo, zamieniając je przedwcześnie w próchno, tak i ta zaraza alkoholizmu toczy nasze społeczeństwo, popychając je do niemoralności, złych obyczajów, a często i do zbrodni.

Dziecko przychodzące na świat, zrodzone z rodziców lubiących się w alkoholu, przynosi już ze sobą ten jad trujący, który nie pozwala mu rozwinąć się należycie i organizm jego będzie zawsze słaby, wątły, zwyrodniały.

Dziś młode pary łącząc się ze sobą nie pamiętają na słowa Chrystusa, który powiedział do ludzi: „łączcie się i rozmnażajcie". Dziś łączą się pary ażeby byt materyalny sobie poprawić, a głównie, żeby żądzę zmysłowości można w każdej chwili zaspakajać, do czego podnieca ich alkohol.

Byłoby bardzo pożądanem, żeby w każdej gminie złożyło się paru gospodarzy i zaprenumerowało „Wyzwolenie", bo kosztuje na rok tylko 2 korony, a z gazetki tej można się bardzo wiele dowiedzieć i pouczyć siebie i innych.

W dzieciach naszych leży przyszłość narodu naszego, jaki im dacie przykład z siebie, takiemi się staną, a nam trzeba być silnymi, bo mamy silnych wrogów, wiadomo zaś, iż tylko w zdrowem ciele może mieszkać dusza silna i potężna. Bierzmy przykład z innych narodów, w Ameryce już są całe okolice gdzie ludzie nie używają żadnych alkoholów, a budynki w których były gorzelnie lub piwne browary, stoją pozamykane lub przerobione na inne fabryki. I w naszych miastach coraz więcej osób przystępuje do eleuteryi, powstrzymują się od picia wódki, wina i piwa, a zastępują te trunki herbatą z cytryną, lub kawą. I jest im dobrze, nie narzekają wcale na to, żeby im sił ubyło, ale owszem czują się zdrowi, a dużo pieniędzy przez to zostaje w kieszeni.

Gdybyż to i bracia nasi po wsiach zakładali takie towarzystwa wstrzemięźliwości, jakże byłoby to chwalebnie, ale każdy początek jest trudny. Spróbujcie tylko, a zobaczycie, że się uda, bo Pan Bóg dopomoże Wam do tego, za jednym, dającym dobry przykład, pójdą setki. A takie zadowolenie, takie niebo czuć będziecie w sercach Waszych, iż więcej do tego nałogu nie powrócicie.

W. Ciechomska.

Dola zesłańców na stepach.

Gazeta petersburska „Oko", opisuje dolę nieszczęśliwych wygnańców, idących etapem na dalekie stepy sybirskie. Szczególnie w tych czasach tysiące przestępców tam wysyłają. Gubernie: wołogdzka, ołoneska, archangelska, kraj Tounchański, obwód jakucki i Narym, oto szereg miejscowości martwych, do których już od lat wielu wysyłają przestępców politycznych. Wielu z nich nie dochodzi do miejsca, bo nie każdy potrafi przejść tysiące wiorst pieszo, wśród ogromnych mrozów i śniegów o głodzie, wielu z nich umiera w drodze, a rodzina dopiero po kilku latach dowiaduje się o tem. Szopy, w których zatrzymują się na odpoczynek, są byle jak zrobione z desek, pełne szpar i przeciągu, są zwykle 3 sążnie długie, a 2—3 szerokie. W takiej izbie nocuje 30 ludzi, razem przestępcy, polityczni i zbrodniarze, kobiety i mężczyźni. Śpią na podłodze, na brudnej słomie, niektórzy na pryczach niczem nie zasłanych. Większa część zesłańców niema ani położyć co pod głowę, ani się czem przykryć, a na podłodze bardzo zimno, bo wieje szparami. Najgorsze są odpoczynki dzienne, bo wtedy konwój nikogo przez cały dzień nie wypuszcza i przeszło dobę muszą leżeć na podłodze, skuleni z zimna, dusząc się w nieznośnym zaduchu i pomimo zimna, pełno jest wszelkiego robactwa. Mrozy dochodzą tu do 50 stopni, a szopy noclegowe licho zbudowane i natu-

ralnie nieopalone. Zmarznięci do szpiku kości zesłańcy, grzeją się w tych szopach, pełnych błota i wilgoci, nie mając się w co przebrać.

Dokąd się idzie za etapem, mają przynajmniej więźniowie dach nad głową na nocleg i jakie takie pożywienie, lecz gdy się dojdzie już na miejsce, gdzie przeznaczono mu zostać i niby odzykać wolność, bardzo wielu skazanych jest na śmierć głodową, bo tam już każdy musi się starać sam o siebie. W lecie, taki więzień może kopać ziemię, zasiewać ziarno i zbierać, ale w zimie gdy przyjdzie, gdzież się schroni i czem się żywić będzie? Czeka go śmierć z zimna i głodu.

Niemcy o nas.

Niektóre dzienniki pruskie zaczynają się trzeźwiej zapatrywać na postępowanie rządu pruskiego względem Polaków. Pod wpływem strejku dzieci polskich, opinia niemiecka w Niemczech, zaczyna krytyczniej badać wyniki antypolskiej polityki rządu pruskiego. Bilans nie przedstawia się korzystnie.

Jak wiadomo, przed kilku laty urządzono w Prusiech kolonizacyę, która miała na celu wykupywać ziemie większych posiadłości i rozkolonizować ją dla małych gospodarzy rolnych. Zadaniem Niemców było, ażeby jaknajwięcej tej ziemi przeszło od Polaków w pruskie ręce, ale nadzieje ich zawiodły. Przeszło 100 milionów wydała już komisya kolonizacyjna, a skutek ten, że w trzech tylko latach od roku 1900 do 1903, 32.400 morgów ziemi przeszło z niemieckich rąk w polskie. Bają o ustawie, która zabronić ma Polakom w Prusiech nabywania ziemi i wprowadzić wywłaszczenie przymusowo dzisiejszych właścicieli. Płonne obawy, tego zrobić nie potrafią. Dlaczegóż nie stworzyć ustawy zabraniającej Niemcom w Poznańskiem sprzedaży dóbr? Działalność komisyi kolonizacyjnej okazała się bardzo użyteczną — dla Polaków. Sto milionów dobrych pieniędzy niemieckich przeszło w polskie kieszenie, te zaś, co nabyto, były zaniedbane dobra biedniejszej polskiej szlachty. Polak, któremu bieda nie ściska jeszcze gardła, nigdy, a nigdy nie sprzeda komisyi kolonizacyjnej swej własności, bo wie, że go rodacy za to wyklną.

Inny dziennik niemiecki utrzymuje, iż strejki polskich dzieci, powstały w ten sposób, iż rząd pruski rozdaje premie nauczycielom, za skuteczne szerzenie niemczyzny, to zaostrzyło opór i nienawiść do języka niemieckiego, a zarazem podkopało powagę nauczycieli. Ci nauczyciele, którzy żądni są owych premii, rozwinęli niebezpieczną gorliwość. Czy to ma sens, pisze ten dziennik, żeby zmuszać polskie dzieci do śpiewania pieśni: Ich bin ein Preuse, (ja jestem Prusak). Dopóki istnieć będzie polska matka, dopóty dzieci mówić i myśleć będą po polsku. Dzieci ze sfer wykształconych uczą się pilnie po niemiecku, bo ten język jest im potrzebny, ale w domach mówią tylko po polsku, a w wolnych godzinach sprowadzają do siebie dzieci z klas uboższych i uczą ich ukochanego ojczystego języka i ojczystej historyi. Z pewnością „niebezpieczeństwo polskie“ istnieje, bo każdy z tych małych patryotów wyrasta na bohatera, bo broni ojczystej mowy. Prusy same wychowują tych bochaterów i męczenników.

† **Wojciech Zawada.** W Poroninie zmarł w 36 roku życia Wojciech Zawada, syn chłopski i chłopski poeta. Urodzony w Dąbrowicy koło Szczucina, już jako mały chłopak rwał się do książek, które przypadkiem dostały się pod strzechę jego rodziców. Pomału dostawał ich coraz więcej. „Wtedy już wiedziałem więcej — pisał w liście — widziałem, że ten lud, ci moi bracia siermiężni są tak ciemni, są tak wyzyskiwani, są tak mało Polakami, a mają przecież takiego bogatego ducha, ino uśpionego w mrokach ciemnoty. To krwawiło moje serce, rozdzierało mego ducha“. Czego więc dowiedział się z książek, tem dzielił się z swą bracią, tego nauczał. W owym też czasie zaczął pisać wiersze, opowiadania, artykuły, które pomieszczał w „Przodownicy“.

Tułaczce jego towarzyszyła zawsze myśl o lepszem jutrze Ojczyzny — pracował też dla tego jutra i jako robotnik w Borysławiu i później jako rolnik w Dąbrowicy i w końcu jako emigrant. Sterany i wątły musiał w zimie bieżącego roku emigrować do Ameryki za chlebem, skąd dla poratowania zdrowia natychmiast wrócił do kraju, do Zakopanego. W końcu przyjęli go pod swoją strzechę znani gospodarze w Poroninie, pp. Franciszkowie Orawcowie, którzy umieli ocenić tę niepospolitą postać.

Spokój jego duszy!

DZIAŁ GOSPODARCZY.

TUCZENIE KACZEK.

Gdy kaczkę utuczyć chcemy, wtedy zamyka się ją w miejscu ciemnem, spokojnem i miernie chłodnem. Karmę daje się pożywniejszą, np. mieszankę z śrótowin kartofli, gotowaną kukurydzę, gotowany groch i inne strączkowe ziarna; jeżeli dajemy poślad, to trzeba go wpierw namoczyć w zbieranem mleku lub przynajmniej w wodzie, a nigdy nie dawać ziarna suchego. Do karmy powinno się dodać trochę tłuczonego jałowcu, szczypiorku, tymianku, macierzanki lub innych aromatycznych roślin, przez co mięso nabiera bardzo dobrego smaku. Karma powinna być też cokolwiek silna, prócz tego należy w karmie przestrzegać częstą zmianę i uważać na to, aby karma nie była skisła, ale zawsze świeża. Świeżej wody do picia nie powinno kaczkom nigdy braknąć. Do wody można dać węgli drzewnych, lub też trochę piasku. Prócz wymienionej karmy można kaczkom poddawać wszelkie odpadki z kuchni. Kaczka z natury bardzo żarłoczna, chętnie zjada wszystko i bardzo prędko się utuczy. Dłużej jak dwa do trzech tygodni tuczyć nie warto. *Hałacińska.*

OWIES.

Potrawy z owsa jeszcze do niedawna stanowiły u nas codzienną strawę, mieliśmy kaszę owsianą, chleb owsiany i podpłomyki owsiane.

Obecnie zaś za mało używamy posilnych owsianych potraw, a za dużo ziemniaków. Jestto również jedną z przyczyn, że dawniej naród był rumiany i krzepki a nie tak blady jak dziś. Owies zawiera więcej niż każde inne zboże tłuszczu, bo $5^1/_2$—$6^1/_2$ proc. i soli odżywczych, czyli części krwiotwórczych, bo 3 proc. Dlatego, zwłaszcza dla naszych stron zimniejszych ma on niepospolitą wartość. — Ludy, codziennie spożywające potrawy owsiane, są silniejsze i dorodniejsze od innych; poznać to można np. na Szkotach i naszych Góralach. Potrawy owsiane w połączeniu z owocami powinnyby szczególnie u nas — narodu odradzającego się — stanowić pożywienie główne; powrót do tego pożywienia naszych praojców byłby wielkim i ważnym postępem.

ZUPA OWSIANA.

Pięć łyżek kaszy owsianej starannie oczyścić, wsypać do $1^1/_2$ litra (ok. $^1/_2$ kwarty) wrzącej wody, ugotować, posolić, okrasić i podać. — Zupa ta, ze względu na swe zalety odżywcze i łagodzące, ma szczególną wartość dla wszystkich chorych a zwłaszcza dla cierpiących na żołądek i kiszki.

KASZA OWSIANA ZE ŚLIWKAMI.

Kaszę i śliwki suszone nastawia się osobno do ognia, po zagotowaniu przeciska się kaszę przez przetak i gotuje ponownie; następnie dodaje się śliwki wraz z sosem i skórką cytrynową i ocukrza polewkę. Zamiast śliwek można też użyć wielkich rodzynków lub słodkich, obranych migdałów.

ZUPA Z KRUP OWSIANYCH, JAGLANYCH LUB TATARCZANYCH.

Rozmaite korzonki (n. p. pietruszka, pory, selera, marchew) i zioła, (np. bazylijka, kurza noga, estragon, koper) a także brukselską kapustę i kalafiory wkłada się wraz z krupami, dodaje zaraz nieco masła i soli do naczynia z wrzącą wodą gdzie to wszystko powinno gotować się zwolna, przez półtorej do dwóch godzin.

Zamiast korzonków można też użyć różnych owoców: należy je ocukrzyć i na pół uwarzone, dodawszy smaku skórką cytrynową lub cukrem cytrynowym, zmieszać z krupami, także poprzednio na pół uwarzonemi; następnie gotuje się na wolnym ogniu, wszystko razem jeszcze przez pół godziny.

Można też do krup uwarzonych na miękko z masłem dodać mleka z cukrem cytrynowym i zagotować. Z mlekiem i owocem dobra jest także t. zw. amerykańska kasza owsiana t. j. obłuskany i następnie pognieciony owies.

GŁÓWNE PRZEPISY RACYONALNEJ HODOWLI KRÓLIKOW.

Kto hoduje króliki, ten wiedzieć powinien:

1. Że królicza samiczka nie powinna zostawać matką wcześniej, jak w ósmym miesiącu swojego życia, bo tylko w tym wieku, jeżeli była dobrze hodowaną i odżywianą, może być w zupełnym rozwoju fizycznym i dawać dobre potomstwo;

2. że samiec króliczy może być użytym do rozpłodu mniej więcej w tymże czasie, a najwcześniej po skończonym siódmym miesiącu życia, jeżeli przedtem, od urodzenia, karmiono i utrzymywano go racyonalnie;

3. że jeden samiec króliczy, należycie karmiony, obsłużyć może 10 samic.

Z tych trzech wiadomości wynika:

a) że źle robią ci, którzy, hodując króliki, pozwalają samiczkom zapładniać się wcześniej, bo wtedy ani samiczki do należytego

rozwoju fizycznego nie dochodzą, ani potomstwa dobrego nie wydają, lecz rodzą karły, których karmić nie warto, chyba na zabawkę dla dzieci;

b) że, mając młode króliki, trzeba je w końcu trzeciego, a najpóźniej z początkiem czwartego miesiąca ich życia rozgatunkować płciowo, t. j. oddzielić samice od samców i tych ostatnich albo się pozbyć, t. j. sprzedać zaraz, albo wykastrować i hodować na mięso, bo inaczej niewykastrowane a hodowane z samiczkami będą się wzajemnie drażnić, później samiczki przedwcześnie się zapłodnią, a samce zniszczeją z przedwczesnego wycieńczenia;

c) że, hodując króliki w małej ilości, np. jedną, dwie albo trzy samice, nie opłaci się dla nich trzymać samca, który zje dużo, a mając niewiele do roboty, zatyje, rozleniwieje i stanie się nieużyteczny.

Z tych tedy względów, przy hodowaniu królików na małą skalę, albo na swoją tylko potrzebę, należy przez Kółko rolnicze złączyć się do wspólnej hodowli. Hodowanie samców porucza się wtedy jednemu z członków, aby inni w razie potrzeby mogli udać się do niego ze swoją samicą dla pokrycia, naturalnie za jakiemś umówionem wynagrodzeniem, aby ten samca dla innych nie żywił za darmo.

Korzyść z tego będzie wieloraka. Najpierw członkowie Kółka utrzymujący jedną, dwie albo wogóle małą ilość samic, nie będą potrzebowali utrzymywać i żywić samców; powtóre, zapobiegnie się przedwczesnemu zapładnianiu samiczek, a nareszcie uniknie się łączenia pokrewnych sobie osobników, co źle wpływa na produkcyę potomstwa.

Zachowując przepisane wyżej ostrożności i prowadząc hodowlę z pomocą Kółka rolniczego celem utrzymywania wspólnych samców, w krótkim czasie doprowadzić możemy chów królików do bardzo pomyślnych rezultatów.

WZDĘCIE.

Wzdęcie bywa u krów i owiec. Jest to nagromadzenie ulotów w pierwszym żołądku (krowa ma 4 żołądki: 1-szy nazywa się torba, 2-gi czepiec, 3-ci księgi, 4-ty ślaz albo trawieniec). Przyczyną wzdęcia bywa najczęściej pasienie na czerwonej koniczynie albo dawanie samej koniczyny świeżej lub też nakarmienie innemi, lekko strawnemi pokarmami, nietylko zielonemi, ale naprzykład osypką ze zboża, dużą ilością otrąb lub koniczyną zanadto zwiędłą. Może też nastąpić wzdęcie, gdy krowę napoimy po napasieniu się na koniczynie. Trzeba też baczyć, żeby krowy nie pasły się w przymrozki i zaraz po deszczu.

O b j a w y znane powszechnie: raptowne wzdęcie brzucha z lewej strony, gdzie leży torba, to jest naprzeciw lewej słabizny czyli lewego miejsca wklęsłego i zwykle miękkiego, licząc od ogona do głowy, między biodrem a żebrami. Na wzdętym brzuchu trudno skórę w palce złapać. Krowa jest przestraszona, oczy ma wytrzeszczone, krwią nalane, oddycha ciężko, z pyska cieknie ślina, odchody są zatrzymane; uszy i nogi ziębną, krowa zatacza się, upada i zdycha.

L e c z e n i e. Zalecam głównie pośpiech, bo krowa może paść w ciągu godziny. Założyć więc zaraz krowie w pysk przewrósło nasmarowane dziegciem albo sadłem, wgniatać niebardzo mocno brzuch z lewej strony i, jeśli wzdęcie niebardzo silne, przepędzać krowę, najlepiej pod niewielką górę. Lekarstwa dawane do środka skutkują tylko przy niewielkiem odęciu; najlepsze są: wódka, której daje się pół kwarty z kwartą wody; terpentyna — daje się jej kwaterką z wódką; sól glauberska, jako czyszcząca — pół funta na raz. Często dają bydlętom wzdętym naftę, ale to niedobrze, nie należy tego robić; lepsza już jest woda wapienna (1 do 2 kwart). Wszystkie te leki jednak, jak wspomniałem, działają tylko przy słabem wzdęciu; długo więc próbować ich nie można, ale jak tylko zauważy się objawy groźniejsze, przebić brzuch, trokarem albo zwykłym, ostro zakończonym nożem. Przebija się brzuch zawsze tylko z lewej strony w słabiźnie, gdzie skóra najbardziej jest naprężona. Trokar, składający się z rurki i szpikulca dobrze do rurki dopasowanego wbija się po rękojeść (rączkę), potem szpikulec się wyjmuje, a rurkę pozostawia się, żeby uloty mogły przez nią wychodzić. Nigdy nie trzeba spieszyć się z wyjmowaniem rurki, bo wzdęcie może łatwo drugi raz wrócić; rurkę w brzuchu pozostawia się 2 do 3 godzin. Zbyt jednak długo, naprzykład z dnia na dzień, nie należy jej pozostawiać, bo można wywołać zapalenie. Kiedy niebezpieczeństwo całkiem minęło, rurkę wyjąć, a dziurę zalać wodą karbolową i zalepić woskiem, żeby się brudu do niej nie napchało. Przez kilka dni po wzdęciu krowę karmić skąpo.

ROZMAITOŚCI.

Czytelnictwo w okolicach gór Świętokrzyskich. Otrzymaliśmy z pod tych gór następujące pisanie:

Ludziska w naszej okolicy są po większej części ciemni, gwałtownie trzeba się nam uczyć i oświecać; nietylko młodzieży, ale i starym trzeba rozpoczynać naukę od samych fundamentów. Są u nas tacy, coby mogli bliźnich oświecać i wskazać dobrą drogę; ale i takich jest dużo, co o to się nie troszczą, tylko dbają o swoje brzuchy. Trzebaby ze świecą szukać ludzi gorliwych i gotowych coś poświęcić dla dobra innych. Są duże wsie, gdzie niema ani jednej gazety, ani jednej książki pożytecznej. I w miasteczkach niewiele lepiej, naprzykład w Słupi mają tylko 2 egzemplarze „Gazety Świątecznej", w Bodzętynie i w Łagowie tylko po jednym. Nie w całej okolicy tak się dzieje: do wsi Suchedniowa (wprawdzie to wieś fabryczna) samej „Gazety Świątecznej" przychodzi 45 egzemplarzy. Bo też tam są ludzie światlejsi co nie o siebie tylko dbają, ale i o innych i nie tłómaczą się, że nie mają czasu na czytanie, albo pieniędzy na opłacanie gazety. Znam tu człowieka ubogiego, co nie ma ani zagona gruntu, a wydaje rocznie na gazety 8 rubli i 80 kopiejek. A wiecie, skąd on te pieniądze bierze? Oto w ciągu roku wypalał tytoniu za 10 rubli i wypijał wódki za 8 rubli; ale dał sobie słowo, że nie będzie wcale pił wódki, ani palił i drugi rok już mija, jak do ust nie bierze wódki ani papierosa. I nawet na tem jeszcze skorzystał, bo mniej wydaje; z tego, co dawniej wydawał pozostaje mu rocznie 9 rb. i 20 kop. A tego rozumu, który przez czytanie nabył, toby i za tysiące rubli nie sprzedał. Nie dziwię mu się, bo i ja sam od lat dwudziestu kilku piję naukę z Gazety jak z czystego źródła. Czyż mało nas zresztą ze źródła tego czerpie? Tej to gazecie zawdzięczać należy, że dzisiaj większa część naszego ludu idzie drogą naszych pradziadów, nie tak jak owi ciemni. albo ci, co złe pisma czytali i dzisiaj kroczą po takich i owakich manowcach, nie mogąc znaleźć prawdziwie dobrej drogi. Dziś powstało dużo gazet, ale Świąteczna pracowała wtedy, gdy czasy były ciężkie, bo za szerzenie oświaty groziły kary. Wtenczas różne gazety pisały sobie o teatrzykach, balikach, romansikach, ubiorach, zbytkach, a Gazeta Świąteczna już wtedy, jak matka rodzona, nauczała ludzi ciemnych, jak mają pracować w polu, jak kochać swój kraj ojczysty i rodaków, jak modlić się do Stwórcy. *Mazur.*

Nauka czytania i pisania po wsiach. W niektórych wsiach na Kujawach gospodarze urządzili sami naukę czytania i pisania dla swych dzieci. Wybrali izbę najobszerniejszą we wsi, znaleźli kogoś, co potrafi dobrze uczyć i posyłają dzieci codzień na naukę, płacąc za każde po 10 groszy tygodniowo. Nauka trwa od godziny 8 do 11-tej przed południem, albo od 4 do 7-ej po południu. Wieczorem w tejże izbie zgromadzają się starsi na czytanie książek i gazet. Nauką opiekują się wybrani przez wszystkich gospodarz i gospodyni; on zbiera w poniedziałki pieniądze i prowadzi rachunki, a ona dba o porządek w szkółce. *r.*

Pomnik Kościuszki na wsi. Staraniem włościan w Muninie, pod Jarosławiem, odsłonięto pomnik Tadeusza Kościuszki. W uroczystości tej wzięło udział włościaństwo i bardzo wielu mieszkańców Jarosławia, między innymi drużyna sokola ze sztandarem i młodzież gimnazyalna. Najpierw odbył się poranek w szkole ludowej, na którym dziatwa pod kierownictwem nauczycielki, p. Radwan, śpiewała pieśni narodowe i deklamowała utwory o bitwie racławickiej. Przed pomnikiem przemawiali: ks. Horowicz, prof. Podgórski, delegat jarosławskiego Koła Towarzystwa szkoły ludowej, p. Gauther, delegat „Sokoła", p. Żelasiński z Cieszacina imieniem Kółek rolniczych, p. Myczkowski, inicyator budowy pomnika. Na zakończenie publiczność odśpiewała hymn „Jeszcze Polska" i inne pieśni narodowe.

Nauczanie powszechne w Rosyi. Komisya, złożona z przedstawicieli różnych ministerstw, a zajmująca się sprawą wprowadzenia w całem państwie rosyjskiem początkowego nauczania powszechnego, gdyż dotąd lud tam niema żadnej oświaty, określiła na zasadzie danych statystycznych ilość dzieci w wieku szkolnym, w posiadłościach europejskich i azyatyckich państw na 7,500.000. Dzieląc urzeczywistnienie projektu na lat 10, cały wydatek na przeprowadzenie tej niezmiernie ważnej reformy kosztować będzie 103,500.000 rubli. Suma ta składa się z wynagrodzenia dla nauczycieli po 330 rubli rocznie i po 60 rubli dla nauczycieli religii. — Reforma ta ma roz-

począć działanie w roku 1907, a budynków szkolnych potrzeba będzie 200.000.

Za nauczanie katechizmu. Do chałupy Mudroma w Woźnikach pod Piotrkowem schodziły się od czasu do czasu dzieci ze wsi na naukę wiary świętej. A uczył je nie żaden nauczyciel uczony, ani nauczycielka, ale niemal rówieśnik uczniów, dwunastoletni Teofilek, syn Mudroma. Czynił to z dobrej woli i własnej ochoty, co tylko pochwały może być godne. Ale prawo rządowe dotąd jeszcze takie nauczanie zbiorowe bez pozwolenia rządu nazywa tajemnem i nie pozwala na nie. Kilkanaście lat temu oddawano za to nauczających pod sąd, który mógł skazać na karę pieniężną lub zamknięcie w kozie; potem, kiedy coraz częściej zaczęto u nas nauczać potajemnie po kilkoro lub kilkanaścioro dzieci razem, a to dla lepszej nauki i taniości, wtedy na całe Królestwo Polskie rozciągnięto przepisy o tajemnem nauczaniu, które działały już przedtem na Litwie, a które nadają prawo samej władzy rządowej, bez odwoływania się do sądu, skazywać ludzi za nauczanie potajemne na kozę do trzech miesięcy lub na karę pieniężną. Skorzystał z tego prawa piotrkowski jenerał-gubernator wojenny, i kiedy otrzymał wiadomość o wspólnej nauce dzieci w Woźnikach, skazał biednego Teofilka na pięć dni kozy.

Warszawski Rinaldo Rinaldini. Poszczególne wypadki napadów i rozbojów, trapiących mieszkańców Warszawy przez cały rok bieżący, przychodzą z biegiem czasu na wokandę sądów i rozprawy te malują nieraz tak fantastyczne obrazki, iż trudno uwierzyć, że miejscem akcyi jest ludne europejskie miasto, a nie jakieś zakątki sławnej ongi Kalabryi lub Kaukazu. Do tej kategoryi spraw należy wypadek porwania p. Dziesiewskiego, rozpatrywany przed paroma dniami przez sądy.

Pewnego lipcowego wieczoru p. J. Dziesiewski, powracając z teatru do domu, około godz. 11 w nocy, otoczony został w najruchliwszej części Krakowskiego Przedmieścia, przed cukiernią Toura, przez czterech młodych ludzi, którzy, porwawszy go pod ręce, szybko wsadzili go do parokonnej dorożki i wnet pomknęli Nowym Światem.

Jeden z napastników przyłożył p. D. rewolwer do skroni, drugi, usadowiony na małej ławeczce, włożył mu lufę rewolweru w usta i w tych denerwujących zaiste warungach, nie odważając się na wydanie jakiekolwiek krzyku i dzwoniąc zębami po lufie, porwany, w towarzystwie wesoło dowcipkujących bandytów, minął Nowy Świat, plac Aleksandra, Hożą, Nowo-Wielką i dojechał do Polnej; po drodze jeden z napastników mówił do niego chełpliwie i z emfazą: „Słyszałeś pan o włoskim rozbójniku Rinaldim? To właśnie ja jestem polskim Rinaldinim, z którym masz pan zaszczyt mieć do czynienia!", poczem strzelił w powietrze z rewolweru.

Porwany ochłonął już o tyle z przerażenia, że prosił nieznajomych o zaniechanie strzelaniny, aby nie ściągnąć na siebie salwy patrolu wojskowego. Na ul. Polnej wszyscy wysiedli; p. D. odebrano portmonetkę z kilku rublami, pierścionki, zegarek, parasol, lornetkę i nawet binokle, poczem zostawiono go na ulicy, a bandyci wsiedli do oczekującej ich obok dorożki i odjechali. Dorożkarz był widocznie wtajemniczony w charakter tej niezwykłej przejażdżki, bo zachęcał rabusiów do pospiechu. Przejeżdżając ul. Nowo-Wielką, rozbawieni bandyci dali znów kilka strzałów z rewolweru, które istotnie zwabiły patrol i policyę; ta ostatnia zabrała wszystkich czterech razem z dorożkarzem do cyrkułu.

Jak rozprawa wykazała, jeden tylko z bandytów był pełnoletni: skazano go na 8 lat ciężkich robót, pozostali jako niepełnoletni dostali po 4—5 miesięcy każdy.

Z walki o polskie dzieci. Przed sądem pruskim w Szubinie w Poznańskiem toczyło się w tych dniach aż 30 procesów o kary, nałożone przez policyę na rodziców polskich, wyłącznie robotników, za nieposyłanie dzieci na areszt szkolny. Sąd we wszystkich wypadkach kary te zatwierdził. — We wsi Wawelnie administrator komisyi kolonizacyjnej wydalił bez wypowiedzenia za opór przeciwko niemieckiej nauce religii około 20 polskich rodzin robotniczych i wyrzucił je przy pomocy egzekutora i żandarmów dworskich. — Nowy proces o podburzanie do gwałtów wytoczono ks. prob. Hertmanowskiemu w Chojnicy. — W wielu wypadkach nauczyciele Niemcy biją na ulicach i drogach spotkane tam dzieci polskie, gdy te zamiast po niemiecku, pozdrawiają ich w języku polskim.

Od wstążki. W Zawierciu, dużej osadzie fabrycznej między Częstochową a Krakowem, umarła Maryanna Przybyłowa, żona robotnika. Rodzina złożyła zwłoki w trumnie, ustawiono ją na środku izby i zapalono gromnicę, przewiązaną wstążką. Wieczorem zamknięto

izbę i wszyscy położyli się spać w drugiej izbie. W jakiś czas potem szedł z kolei do domu nieboszczki jej ojciec, który przyjechał na pogrzeb. Patrzy aż tu w mieszkaniu zmarłej płomienie. Biegnie coprędzej, budzi domowników i dopiero wtedy ujrzano, że już cała trumna w ogniu. Pożar szybko ugaszono. Powstał on od gromnicy, od której zapaliła się wstążka dokoła niej zawiązana. Ze wstążki zaś ogień dostał się na ubranie nieboszczki. Gdyby nie nadejście w porę ojca zmarłej, cały dom pewnie byłby poszedł z dymem.

Oszukani robotnicy. W ostatnich czasach jak donosi „Bielitz-Bialaer Anzeiger“, coraz częściej zdarzały się wypadki, że pośród fałszywych obietnic pewien agent na dworcu w Dziedzicach, werbował robotników dla fabryk żelaza w Bóbrku pod Katowicami. Robotnicy, przybywszy na miejsce, doznali zawodu tak co do pracy, jak i co do zarobku. Niedawno taki los spotkał 18 robotników. I tak robotnik Karol Król z Grodźca otrzymał na miejscu 2 marki dziennej płacy zamiast 4 marek. Wobec tego robotnicy zrzekli się pracy i powrócili do Galicyi, wędrując pieszo bez grosza w kieszeni. Gdy przechodzili przez Bielsko i Białę, kilku z nich uwięziła policya, skutkiem podejrzenia o współudział w zamordowaniu policyanta Dietricha i wieśniaka Hojdysa. Uwięzieni, wykazawszy swoje alibi, wypuszczeni zostali na wolność. — Zapewnie policya i żandarmerya wyśledzą niesumiennego agenta i oddadzą go w ręce sądu.

Smierć oryginała. W Budapeszcie od szeregu lat znaną była wielce oryginalna postać siwowłosego kapłana, ubranego bardzo ubogo, który chodził po ulicach, niosąc pod pachą plik papierów. Przed kilku dniami znaleziono go omdlałego na ulicy i odwieziono do szpitala. Starzec, przyszedłszy do przytomności, kazał przywołać do siebie księdza, wobec którego po wyspowiadaniu się uczynił rozporządzenie ostatniej woli, zapisał mianowicie cały swój majątek, wynoszący 230 tysięcy koron, a ulokowany w bankach, na budowę i popieranie szkół ludowych wiejskich. „Głodziłem się — mówił starzec — byle przyjść z pomocą ludziom ubogim“. Sądzono z początku, że mówi w gorączce, ale okazało się z papierów, które przy sobie nosił, że ma rzeczywiście ów majątek. Dalej okazało się że nazywa się Franciszek Gerlach i jest doktorem trzech wydziałów: teologicznego, filozoficznego i prawniczego. W połowie ubiegłego wieku był inspektorem seminaryum duchownego w Budapeszcie, później wychowawcą w domach arystokratycznych. Nagle porzucił wszystko i zaczął wieść życie koczownicze, żyjąc dosłownie chlebem i wodą i nie mając żadnego pomieszkania. Opuścił dyecezyę ostrzyhomską, gdzie obchodził jubileusz 50 rocznicy kapłaństwa. W Budapeszcie przepędzał noce w poczekalni trzeciej klasy na dworcu zachodnim, a gdy przed kilku laty wyszło rozporządzenie, ażeby poczekalnie o północy zamykano, Gerlach przeniósł się na dworzec wschodni. Stamtąd ustąpił skutkiem takiego samego rozporządzenia i przeniósł się do sieni urzędu telegraficznego w głównej poczcie, przez całą noc otwartego. Siadywał w niszy okiennej, modlił się i zasypiał. Czasami posyłał znaczne kwoty papieżowi przez pocztę. Oryginalny starzec w kilku restauracyach otrzymywał bezpłatny wikt, a w kilku domach tygodniowe wsparcie. Wieczorem przy okienku urzędu telegraficznego mieniał wyżebrane centy na korony. Umarł wreszcie w szpitalu, pozostawiwszy znaczny majątek.

Wagon w szkole. Donoszą z Warszawy: W szkółce przy cukrowni hr. Bobrzyńskich, na jednem z przedmieść Warszawy, kiedy dzieci jak zwykle zebrały się na naukę, zdarzył się dziwny wypadek. Szkółka ta znajduje się w pobliżu stacyi kolejowej „Bobrzyńskaja“. W tem silne, głuche uderzenie w ścianę zewnętrzną zwróciło uwagę obecnych, jeszcze chwila — a ściana się wali i do klasy wjeżdża wagon z burakami. Przestraszone dzieci rzuciły się do ucieczki, jeden tylko chłopiec został skaleczony w głowę. Katastrofa nastąpiła, iż dwa wagony, napełnione burakami, pchnięte były silnie i na pochyłym torze łamiąc zaporę wjechały do szkoły.

ZŁY APETYT.

Moskal zawsze żarłoczny,
Mimo, że ma trosk nawał,
Od Królestwa, Chełmszczyzny
Odgryść pragnie dziś kawał.

Niechaj łyka ten kąsek,
Który ziemią swą zowie.
Kością w gardle mu stanie
I nie pójdzie na zdrowie.

Bowiem Moskal łakomy,
Z tego w świecie są sławni,
Że choć wszystko połyka,
Lecz niczego nie trawi.

HUMOR.

Obrońca do zbrodniarza: — Popełniłeś największe morderstwe, zabiłeś ojca i matkę, cóż ja mogę powiedzieć na twoją obronę!

Złoczyńca: — Wielmożny panie obrońco, możesz prosić sędziów, aby mieli litość nad biednym sierotą.

Doktór: Pozwoliłem mężowi popijać lekarstwo kieliszkiem wina. Czy zażywa regularnie?

— A jakże, już ma cały nos czerwony.

Lekarz: — Jakże pani mogła zjeść tyle pierogów, żeby się aż rozchorować?

Wdowa (szlochając): — Ach, panie doktorze, pierogi były ulubioną potrawą mojego nieboszczyka, a wczoraj była rocznica jego śmierci.

Także racya.

— Wojtek! a czegożeś taki markotny?

— A bo mi się tatula każą żenić.

— Głupiś, przecie ja się ożeniłem i dobrze mi.

— A juźci, ino tatulo ożenił się z matulą, a mnie dają obcą dziewkę.

ZWYCIĘŻONY.

Siedzi Wiluś na kanapie,
I po głowie wciąż się drapie,
Wąs postawił strasznie w górę,
Ale myśli ma ponure.

. . . .

Wmawiał w świat przez długie lata,
Że był niczem przy nim tata;
Wszyscy na nic — on jedynie,
On z mądrości wielkiej słynie,
On jest, jak w fenigach — trojak,
Pierwszy mowca muzyk, wojak,
I czy ganisz, czy pochwalasz,
Pierwszy rzeźbiarz, pierwszy malarz,
I choćbyś się lata spierał,
Majtek pierwszy i generał.
Czy świat wierzył, czy nie wierzył,
Wiluś takie bajdy szerzył.
Dziś z wielkiego spuści tonu,
Pęknie sława, jak z balonu,
Bo w Poznańskiem, jak wieść leci.
Pewnie go zwyciężą... dzieci.
Tam jest już postanowiona
Klapa Nad-Napoleona.

. . . .

Siedzi Wiluś na kanapie
I po głowie wciąż się drapie,
Wąs postawił strasznie w górę,
Ale myśli ma ponure.

Piernik toruński. Miodu 1 kwartę mąki pszennej pośledniejszej 3 kwarty. potażu oczyszczonego 2 łuty (kupić w składzie aptecznym), rozpuszczonego w pół kwaterce wody, 4 całe jaja, trochę tłuczonych goździków i cynamonu, oraz cykaty drobno pokrajanej. Mąkę z miodem wymieszać i wybijać warząchwią 2 godziny, dodać pod koniec rozpuszczony potaż. Ciasto wyrobione postawić na kilka dni blizko komina, aby miało ciepło, poczem na parę godzin przed wstawieniem do pieca, dodać jaja i korzenie, wyrobić jeszcze dobrze i na blasze, wytartej woskiem, rozpostrzeć ciasto na grubość palca, ubrać migdałami na płask przekrajanymi i wstawić w piec po razowym chlebie na całą godzinę. Takie pierniki, dobrze zrobione, można na jarmarkach sprzedawać.

Obwarzanki kruche. Ilość: kwarta ładnej mąki, 7 całych jaj i kwaterka cukru miałkiego. Zagnieść ciasto i dobrze je wyrobić, potem z cienkich wałeczków, nie grubszych jak koniec małego palca, zrobić małe obwarzanki i wrzucić je na wrzącą wodę, a gdy wypłyną, układać je na blachę, masłem wysmarowaną, i piec w niezbyt gorącym piecu, uważając, aby się bardzo nie zrumieniły.

Owsianka. Wziąć funt starannie oczyszczonego i w świeżej wodzie opłukanego najlepszego owsa, wsypać go do kamiennego garnka, nalać 6 litrami świeżej, wrzącej wody i wygotować do połowy. Pozostałe 3 litry owsianki przecedzić przez czyste płótno, niezbyt naciskając; następnie dla smaku dodać cokolwiek cukru, lub miodu (wedle upodobania), jeszcze kilkakrotnie zagotować i zanieść w dobrze przykrytem naczyniu kamiennem na 24 godzin do piwnicy. Następnie, żeby osadu nie poruszyć, zlać owsiankę ostrożnie do butelek lub dzbanków bardzo czystych i szczelnie przykryć lub zakorkować. Przed użyciem można dodać trochę cytryny.

Czy można wychować prosięta w razie padnięcia maciory? Na pytanie to nie da się bezwzględnie potakująco odpowiedzieć, ale że jest to możliwem, dowodzi następujący przypadek: stara już maciora porodziła 11 zdrowych prosiąt, ale tak była osłabiona, że trzeba ją było dobić. Pokazało się przytem, że miała w sobie jeszcze 3 ogromne prosięta. Dla próby postanowiono owe 11 prosiąt odżywiać mlekiem krowiem Umieszczono je w skrzyni w oborze, przykryto je owczą skórą, a za pożywienie podawano im na wielkim porcelanowym półmisku przegotowane mleko krowie, zmięszane z przegotowaną wodą, z początku w małych porcyach, co godzinę. Półmisek myto starannie po każdem użyciu, ażeby kwasy się nie tworzyły, skórę owczą osuszano, a po każdorazowem nakarmieniu zaraz nią prosięta przykrywano. Prosiątka rosły w oczach, po dwóch tygodniach nie potrzebowały już żadnego

przykrycia, a spijały takie ilości mleka, że trzeba było pomyśleć o częściowem zastąpieniu czemś innem. Zaczęto więc podawać im gotowany jęczmień, który z wielkim apetytem pożerały. Wyrastały zaś tak doskonale, że mając pięć tygodni prześcigły w rozwoju inne prosięta, nieco nawet starsze, karmione przez matkę, a po 6-ciu tygodniach zostały sprzedane po najwyższej targowej cenie.

Co może zrobić gospodarz w zimie przeciw chwastom. Niejeden z czytelników pomyśli sobie: A cóż można w zimie robić przeciw chwastom? A jednak jest faktem, że przeważna część chwastów nasiennych właśnie w zimie dostaje się na rolę dzięki niebaczności gospodarza.

Niech sobie każdy rolnik przypomni, co się dzieje ze wszystkiemi nasionami chwastów, wydobytemi ze zboża przy jego młynkowaniu i czyszczeniu?

W największej części wypadków albo dostaje je drób, albo po prostu wyrzuca się na pastwiska i łąki, albo na kupy kompostu; a w tych wszystkich przypadkach dostaje się z powrotem na rolę; dostaje się tam z pomocą wiatru, ptaków lub innych zwierząt, lub przy zamiataniu i czyszczeniu podwórza. Jak tedy najprościej uczynić te nasienia nieszkodliwemi? Naszem zdaniem najlepiej wykopać dół i tam je wrzucić, aby już więcej nigdy nie wyjrzały na światło dzienne, a wtedy już gospodarzowi szkody nie wyrządzą. W zasadzie chodzi jednak po prostu o to, by niszczeniu nasion chwastów więcej poświęcić uwagi, a cel osiągnąć bardzo łatwo.

Pasza z buraków i wytłoczyn. Kto ma liście buraczane i kapuściane, niech je dołuje, przekładając wytłoczynami, to jest kładąc warstwę liści i warstwę wytłoczyn. Same liście bardzo gniją, wytłoczyny zaś lepiej się przechowują. I łebki buraczane można też dołować, bo z tego jest wyborna pasza na wiosnę, tylko trzeba dołując udeptać, jak kapustę, końmi, lub stopami ludzkiemi. Baczyć też, żeby dół był doskonale i szczelnie przykryty, by powietrze nie miało dostępu. Wybierać paszę z dołu należy nie warstwami, poziomo, ale rąbać pionowo z góry na dół, bo tym sposobem przykrycie z wierzchu pozostanie, bok zaś jest ułoczony. Ziemia na takie doły najlepsza gliniasta, bo sama przez się stanowi cembrzynę, nieprzepuszczającą soków paszy.

W ziemi piasczystej pasza z boków trochę się psuje, ale od biedy można i w takiej ziemi dołować. *W. K.*



Odpowiedzialna redaktorka i wydawczyni: Marya Siedlecka w Krakowie. — Druk A. Rippera w Krakowie.

Dodatek do Nru 11 i 12 „Przodownicy“ z r. 1906.

JARMARK W CHACIE.

Nie dziwujcie się, proszę, gdy słyszycie mowę o jarmarku w chacie. Wy ani wiecie, ani nie domyślacie się nawet, iż ja chcę mówić o jarmarku takim, który się odbywa codzień, nie daleko w mieście, ale we wsi, w chacie.

— Co za jarmark? pyta Małgorzata, Katarzyna, Zośka i inna.

— Chyba, że pani na wsi nigdy nie była, chyba, że pani na wsi ludu nie zna, chyba, że pani z nas sobie żartuje, jeśli o jarmarku opowiada.

Lecz moje lube gosposie — moje piękne gosposie bądźcie cierpliwe. Posłuchajcie, a potem powiedzcie, czy mówię nieprawdę.

Są chaty, w których jak rok długi tak bezustannie odbywa się jarmark.

Krzyku, wrzawy, hałasu właśnie tyle, co na jarmarku.

Śmiecia, kurzu, błota także tyle, co na jarmarku.

A i kur i gęsi i prosiąt i królików chyba także tyle, co na jarmarku.

Niejeden raz, gdy do takiej chaty weszłam, nie wiedziałam, co począć z sobą, bo i żal mię przejmował i gniew nademną swoje brzydkie skrzydła rozpinał.

Myślę sobie wtedy — trzebaby takiej niedbałej gospodyni, jak niedobremu dziecku, dać jakąś karę i jakąś pokutę, ażeby się przecie zawstydziła i zabrała do gospodarstwa porządnego.

Ale potem żal mię przejmuje i szepce:

Cóż ona winna, iż nie umie porządku utrzymać, jeśli jej nikt nie nauczył tego, jeśli wyrosła w chacie brudnej, jeśli przywykła do tego, iż zawsze jarmark w chacie miała i widziała.

Może być, że i to prawda, może być, że i ja, gdybym się była od matki nie nauczyła porządku, byłabym może tak samo nie umiała gospodarzyć i nie miłowałabym porządku więcej nad klejnoty i bogactwa.

Więc tak podumawszy, niejeden raz chodziłam potem w tej i owej wsi od chaty do chaty, z tą i ową gospodynią rozmawiałam, radziłam, co zrobić, aby jarmark z chaty wyrzucić i niejeden raz mej rady posłuchano, niejeden raz nawet dziękowano mi za naukę serdecznie. Przekonałam się więc dobrze, że nasze jarmarki w chatach, to tylko z ł e p r z y z w y c z a j e n i e, więc dadzą się wytępić, a, żeby do tego dopomódz, oto w krótkiej gawędzie drobinkę lekarstw chcę podać:

Moje miłe gosposie, moje młode dziewczątka, proszę, posłuchajcie.

1. CZY WIECIE, NA CO SĄ CHATY?

Zapewne, odpowiecie, iż chaty są na to, ażeby ludzie w nich mieszkali. Chaty są na to, ażeby ludzie mieli się gdzie skryć przed deszczem, przed wichrem, przed mrozem, przed gorącem i t. d. Ale są one także na to, ażeby ludzie w nich mieszkający, mieli pewne wygody i przyjemności, ażeby nie tylko ciało ludzkie znajdowało tam dla siebie schronienie, lecz i serce i myśl człowieka, ażeby tam bogaciły się, szlachetniały, w uczuciach rosły i wiedzy postępowały.

W chacie dzieci odbierają najpierwsze nauki z ust rodziców. Tu one zapatrzone w życie ojca i matki, naśladują każdy czyn rodziców. powtarzają prawie każde słowo.

Mówią też ludzie, jakie gniazdo taki ptak, jaki dom, tacy ludzie.

Chaty są najpierwszymi schodami dla młodych dusz, są też i kościołami, w których dzieci najpierw uczą się modlić, Boga znać i kochać.

Chaty są opieką dla mieszkańców. Od wichru i mrozu chronią, od jadowitych stworzeń osłaniają, od złych i niespokojnych sąsiadów oddzielają.

Każda chata stanowi jakby mały, zamknięty świat, w którym albo ludziom dobrze, albo źle. Ale to dobro lub zło zależy od tego, jak życie w chacie jest urządzone.

2. KTO MA KLUCZ SZCZĘSCIA WŁOŻYĆ DO DRZWI CHATY?

Chociażby gospodarz zbudował chatę z najdroższego drzewa, lub wymurował z najtrwalszego kamienia, chociażby dał drzwi złote,

a okna srebrne, jeszcze to nie pomoże, jeśli gospodyni szczęścia nie przyniesie.

Chociażby gospodyni od świtu do nocy w chacie pracowała, chociażby uwijała się, jak to mówią bez wytchnienia, chociażby i skrzynię jedną przyodziewku wniosła i komorę miała pełną zapasów, jeszcze to wszystko nie da pewności, czy w chacie szczęście będzie mieszkało. Bo mi tak matka mówiła, że szczęście to ptak płochliwy. Jedna chwila wrzawy i swaru, a ptak poleciał i nie wróci. Mieszka on tylko tam gdzie słodki, luby spokój, gdzie zgoda i cisza. Ta więc gospodyni klucz szczęścia ma swoich rękach, która umie tak gospodarzyć, ażeby w chacie spokój utrzymać.

3. CO WPROWADZA NIESPOKÓJ DO CHATY?

Jarmark w chacie nigdy spokoju nie da. A początkiem jarmarku w każdej chacie jest nieład, nieporządek, niechlujstwo. Wbiegło dziecko z podwórka, spłoszyło kurę, ta wskoczyła na ławę, strąciła miskę i już krzyku, nieszczęścia dość na cały dzień. Matka dziecko zbiła, aż posiniało z płaczu, starsza dziewczyna dostała po rękach za to, że drzwi do chaty otworzyła, kura, aż piórami po sieni zasypała, bo tak nią gospodyni w złości rzuciła.

Na to przyszedł gospodarz, coś się wmieszał słowem jednem, otrzymał odpowiedź bardzo niegrzeczną, odrzekł znowu niecierpliwie i jakby kto podpalił izbę w czterech węgłach, tak krzyku, niepokoju i gniewu dość cały dzień, a może i całą noc.

Wszystkiegoby nie było, gdyby w chacie był porządek.

4. CZY KURA I MISKA TO NIEPORZĄDEK?

Kura, bardzo pożyteczna, miska bardzo potrzebna, ale jedno i drugie na swojem miejscu. Kura nigdy nie powinna być w izbie tej, gdzie ludzie mieszkają. Ani wtedy jak się niesie, ani jak się troszczy, ani jak na jajach młode wysiaduje. Dla niej bardzo dobrze będzie w sionce, w komorze, w kurniku, a w chacie bardzo będzie i czysto i porządnie bez kury.

Chata jest mieszkaniem ludzi. Dla zwierząt są budowane osobne stajenki, kurniki i chlewki. Kura choćby najładniejsza i czubata i nośna, to zawsze nie towarzysz w mieszkaniu człowieka, bo przez to samo, iż zanieczyszcza dom, już bardzo szkodliwą jest dla zdrowia.

Miska — bardzo potrzebna rzecz, ale nie na ławce. Powinna mieć miejsce albo na półce, albo w szafce. Wtedy dziecko nie będzie przelęknione gdy do chaty wbiegnie, inne nie będą płakały, karane niewinnie, gospodarz nie usłyszy odpowiedzi niecierpliwej. Ileż to razy podobne rzeczy powtarzają się! O byle drobnostkę krzyku i niepokoju pełno, jak na jarmarku, gdzie ludzi wiele, a nie byłoby tego wszystkiego, gdyby każda rzecz była na swojem miejscu.

5. CZY TO CHATA, CZY CHLEWEK?

Gdyby to jednak tylko tyle było nieładu w chacie, ile go da kura z kurczętami. Jeszczeby tam jako tako dało się izbę do porządku doprowadzić. Ale nie jeden raz bywa tak, iż gdy człek wejdzie do chaty, nie wie, czy wszedł do chlewka, czy do mieszkania ludzi.

Powietrze pełne nieprzyjemnych zapachów, aż coś dusi, oddęchać trudno.

— Moja gosposiu, pozwólcie, otworzę okno i drzwi, niech wietrzyk świeży powieje, niech przyjdzie tu miła woń z ogródka. Proszę bardzo grzecznie.

A moja gosposia na to:

— Nie można otwierać, nie można, króliki pouciekają, gołębie wyfruną, prosię wyleci do ogrodu.

Istotnie, w chacie pełno zwierzątek. Króliki pod ławą zasiadły gromadą jakby na jakim sejmie. Gołębie pod powałą na półce gospodarzą i wesele sprawiają, a prosię niebożątko z pod pieca zagląda i jak umie tak wyśpiewuje.

Myślę więc sobie. Policzę, czy tu więcej ludzi czy zwierząt i dopiero przekonam się, czy ja jestem w chlewiku, czy w chacie.

Gosposia, gospodarz, troje dzieci, stara babka komornica, razem sześcioro ludzi.

Królików siedmioro, gołębi pięcioro, prosię jedno, dwie kury to razem piętnaście sztuk, a więc — chlewek to, nie izba mieszkalna.

— Biedni wy bardzo biedni, gosposiu, żal mi was serdecznie — powiadam wychodząc.

Gosposia spojrzała na mnie zdziwiona i pyta:

— Dlaczego pani tak mię żałuje?

— Bo nie macie chaty, musicie w chlewiku żyć i mieszkać.

— Co też pani powiadają?... Wszakci chatę mam, po ojcach mi ostała, nie bogacka bardzo, nie nowa, ale jeszcze postoi. Dzięki Bogu komorować nie pójdę.

— A ja wam powiadam, że chaty nie macie, bo wy tu tylko kątem u królików, prosiąt i gołębi mieszkacie, ich tu więcej, one tu gruchają, kwikają, żyją jak im wygodnie, a wy musicie oddechać złem powietrzem, sprzątać nieczystości, słuchać kwiku i hałasu. Gdybyście mieli chatę własną, toby w niej było i czysto i miło i porządnie.

— Czego się pani gniewają? Teraz po gazetach piszą, aby króliki trzymać, że to mięso zdrowe i warto jeść.

— Owszem i ja się na to zgodzę, że króliki chodować warto, ale nie w izbie, gołąbki także pożyteczne są i prosiak się przyda, ale co ludzie to nie zwierzęta, więc jeśli jest izba na mieszkanie dla ludzi, niech oni tam mieszkają, jeśli jest chlew dla zwierząt, niech zwierzęta się tam tulą.

Człowiek powinien mieć izbę czystą i spokojną, zdrową i miłą, bo człowiek w izbie część życia spędza, a życie to ma prawa nie takie jak życie zwierząt. Człowieka życie składa się z życia ciała i ducha, więc musi mieć to wszystko, co jest potrzebne dla ciała i dla ducha. Dla ciała trzeba czystego zdrowego powietrza, porządku i schludności w odzieniu, mieszkaniu, wygodnego miejsca do pracy i do spoczynku. Dla ducha trzeba spokoju, ciszy, zgody, trzeba piękna i powabu, bo duch ludzki wrodzoną ma tęsknotę do wszystkiego co szlachetne, wzniosłe i piękne. A gdzie człowiek jak zwierz żyje w brudach obrzydliwych, gdzie razem ze zwierzętami musi i jeść i spać, pracować i spoczywać, tam duch marnieje, tam zniża się i opada, staje się coraz gorszym i nawet do upadku i zbrodni skłonniejszym.

Dlatego potrzeba zwierzęta z mieszkań ludzkich usunąć, a chatę każdą uczynić zdrową czystą i miłą.

6. ODZIEŻ I BIELIZNA.

W niejednej chacie, podobnie jak na jarmarku powywieszane są rozmaite rzeczy do ubrania. Jedne nowe i ładne, inne brudne i podarte. Wiszą one na żerdkach nad pościelą, na żerdce przy piecu, w kącie przy drzwiach, a nawet leżą kupą pod ławą lub za skrzynią.

Obrzydliwy ten nieporządek zamienia chatę w żydowski skład tandety. Ile razy obaczę takie niechlujstwo, myślę sobie: Biedny ten gospodarz, który musi mieszkać w izbie niechlujnej, biedne te dzieci, które nawykną do takiego nieładu i nigdy nie będą umiały chaty swej uczynić piękną i zdrową.

Zawsze jest to wina gospodyni jeśli w chacie wogóle nieporządnie, ale już najgorsza jej wina, jeżeli ona nie umie znaleźć dobrego miejsca na odzież, bieliznę i brudy.

Jeżeli przy izbie mieszkalnej niema osobnej izby, tak zwanej komory, na odzież, to lepiej już wieszać ubrania na strychu jak w izbie. Jeżeli zaś chata nie ma komina i dym po górze chodzi to trzeba oddzielić deskami dość obszerne miejsce, albo na strychu albo w sieni, zamknąć dobrze, dać wewnątrz dość kołków i jakoby w wygodnej szafie powieszać odzież rzędami tak, ażeby się nie międa, nie brukała, i nie robiła wrażenia, że to na jarmarku na sprzedaż powieszane odzienie.

Jeżeli zaś izba w chacie dość obszerna, to najlepiej mieć szafę na odzież. Szafa nie taka zanadto droga rzecz, ostatecznie i cieśla dobry na wsi szafę zrobić potrafi, a wtedy i ubranie się nie niszczy i w chacie porządek aż miło.

Bieliznę składa się do skrzyni, spodnice, sukmany, wiesza się w szafie.

Co zaś się tyczy brudnych rzeczy, tych nigdy nie trzeba w izbie trzymać, bo to jest niezdrowo. Najlepiej uprać co tygodnia, a jeśli czasu na pranie nie ma, to brudne rzeczy na strychu, albo w komorze rozwiesić.

Mają też niektórzy zwyczaj, iż buty, trzewiki, krypcie składają pod łóżkiem albo pod ławą. Buty z błotem leżą może i miesiąc i dwa, aż zapleśnieją. Trzewiki podarte, które się już na nic nie przydadzą, leżą nie wiedzieć po co, ot aby leżały. Wokoło takiej tandety gromadzi się pełno kurzu, śmiecia, pajęczyny, a w tem wszystkiem gnieżdżą się zarazki rozmaitych chorób.

W takiej chacie toć zupełnie jak na jarmarku, gdzie śmieciska nie mało, a kurzu jeszcze więcej.

A choć tam niby co dzień, czy gosposia sama, czy córka która zamiata, choć to niby i pokropi, aby kurzu nie robić, to wszystko nie wiele warte, bo przy zamiataniu pośrodku, kąty wszystkie zostaną nieruszane, szkoda zamieść te składy pajęczyn, ruszyć te buty opleśniałe, te podarte rupiecia, któreby mogły obchodzić jubileusz swego spoczynku.

Jak powiada stara śpiewka:

— A łyżki pod ławą
— Zarosły murawą.

7. CZEMU CHATA NIE NA JARMARK?

Jarmark, to jest czas przeznaczony na kupno i sprzedaż. Ludzie na jarmarku zajmują się tylko tem, ażeby kupić tanio, sprzedać drogo i zaopatrzyć się w te rzeczy, które są dla nich potrzebne.

A życie w chacie nie może toczyć się dzień po dniu, jak na rynku lub na targowicy, tylko wśród wrzawy, niepokoju, rozmowy i handlu. Gospodyni w chacie jest matką, żoną i opiekunką domu. Matka ma dzieci wychowywać zdrowo i uczyć je wszystkiego, co dobre i szlachetne. Żona ma być mężowi pomocą w pracy i towarzyszką życia w obowiązkach narodowych i społecznych, Ażeby wszystko wypełnić dobrze i poczciwie, trzeba przedewszystkiem zaprowadzić wielki porządek życia codziennego. Wszystko wykonać o oznaczonej godzinie, wszystko mieć na swojem miejscu, a wtedy hałasu i krzyku będzie coraz mniej, gołębie, kury i króliki będą obok chaty, nie w chacie, a przez otwarte okna słonko zaglądnie i szczęścia promyk rzuci do tej chaty, w której nie będzie jak na jarmarku, ale jak w domu, gdzie wszystko idzie ludziom na pożytek, Bogu na chwałę.

8. KRÓLIKI I GOŁĘBIE W CHACIE.

Gdybyż to tylko tyle było nieporządku w chacie, ile go da kura!... Ale u nas po wsiach lubią gospodynie mieć w chacie wiele i skrzydlatych i czworonożnych mieszkańców. Wchodzę do chaty, powietrze duszne, aż odetchnąć trudno.

— Moja Mateuszowa, czemu nie otwieracie okien? Czy to więzienie macie nakazane, iż u was wszystko pozamykane.

— Nie mogę otworzyć drzwi, bo króliki uciekną, nie mogę otworzyć okna, bo gołębie polecą.

Patrzę, aż tu na półce nad szafą gospodarzą gołębie, pod ławą zaś króliki uszkami strzyżą. Bardzo dobrze chować i króliki i gołębie, ale czy to nie można znaleźć dla nich innego kątka? Czy dlatego chata ma się stać chlewkiem, a dzieci muszą oddechać zepsutem powietrzem?

Aż spojrzeć przykro dookoła. Chata byłaby miła i wesoła, słanko się przez okienko śmieje, ale cóż, kiedy przez brudne szyby dojrzeć go trudno, W ogródku wonieją drzewa, cóż kiedy też woni nikt tu nie poczuje, chata zamknięta i pełna brudu.

Istny jarmark dzień i noc w tej chatce, w której ma być cisza, spokój, porządek.

9. CHUSTY, ODZIEŻ, NIEPOTRZEBNE GRATY.

Koło pieca żerdka, a na niej rozwieszone stare chusty, brudna odzież. Za skrzynią w kątku stoją spleśniałe, stare buty, na których błoto może jeszcze z zeszłego roku. Pod ławą kilka stłuczonych garnków, za łóżkiem złamane wrzeciono, podarta książka, gazety kilka kartek...

Istny jarmark!... A gosposia jak na jarmarku, zamiast zabrać się do sprzątania i do porządku, gadu, gadu, to z sąsiadką, to z kumoszką... Dziecko ma koszulinę rozdartą od rękawa, aż do ziemi, ale mama nie zaszyje, bo musi gadać z sąsiadką... Tamto dziecko nie myte może trzy dni, ale czasu nie ma. by go umyć, bo przyszła Józka i opowiada o Stefce rozmaite plotki...

— Czemu się pani gniewają? Czy to nie miło pogadać z sąsiadką?

— Owszem, ale wtedy znaleźć czas na rozmowę, gdy wszystko wykonane jak należy. Brudne rzeczy wyprać, stare, niepotrzebne graty wyrzucić, dzieci umyć, bieliznę pocerować i połatać, wtedy wiem, że nie będzie w chacie jarmarku i wtedy każdy powie, mieszka tu gospodyni porządna i troskliwa o szczęście rodziny.

Jak się pozbyć kołtuna.

Istnieje prawie w całej Polsce obrzydliwy przesąd, że przez zapuszczenie wstrętnego kołtuna, można się pozbyć wielu przewlekłych chorób, jak: gościec, febra, reumatyzm, skrofuły, choroby oczu, uszu i wiele innych: jest to taki sam przesąd jak „zamawianie“ przez różne baby, i jak ta brzydka wiara, że gdy swoją chorobą kogoś zarazimy, to sami przez to wyzdrowiejemy. Czas już się pozbyć tych głupich przesądów i zrozumieć, jakie to wszystko niedorzeczne, a nawet szkodliwe, — bo i „zapuszczanie kołtuna“ i chodzenie po różnych „babkach“ jest w swych skutkach bardzo „szkodliwe, bo zamiast leczyć się prędko, póki jeszcze czas i choroba jakaś, która dziecko lub dorosłego trapi, jeszcze się zbytnio nie rozwinęła — to traci się czas na

zamawiania i inne różne czary, a tymczasem chory tak niszczeje, że i najlepsza rada lekarska już i pomódz nie będzie mogła.

Gdy przy jakiejś przewlekłej chorobie już różne plastry, zioła, i różne czary nie przynoszą żadnego skutku — wtedy jakaś „sąsiadka, lub sama matka lub kumotrka postanawia, że trzeba „zapuścić kołtun“ i zaraz zawiązuje dziecku lub dorosłej kobiecie, jakąś chuściną głowę i pozostawia ładne i bujne włosy na łup brudu i robactwa. Skóra głowy wydziela dużo tłuszczu, który pomieszany z pyłem, kurzem i brudem jest doskonałem miejscem dla rozmnażania się wszów, których powstają całę tysiące w pozlepiałych włosach w jedną masę lub wzbite grube pasma. Wygląd kołtuna jest obrzydliwy, wstrętny, a nawet i twarz posiadającej kołtun jakoś wygląda zmęczona, wybladła, nieszczęśliwa, bo po pierwsze męczy ją jakaś choroba zaniedbana, z której już się nie leczy, a po drugie ten brud, to robactwo męczy chorą i wyniszcza, bo robactwo gryzie, i z tego tworzą się strupy, sączące ropę. We wszystkich krajach Europy prawie nigdzie zupełnie nie znają kołtuna; we Francyi, gdzie mieszkałam i praktykowałam jako lekarz, ani jednego nie widziałam kołtuna przez całe 12 lat; w Niemczech, Szwajcaryi także nie widziałam. Zresztą w samej medycynie, gdzie po łacinie nazywają się różne choroby — to kołtun nazywa się: „plica polonica“, czyli kołtun polski — co za wstyd dla naszego narodu! Za granicą pytali się mnie czasem i lekarze i ludzie wiejscy, żeby im opowiedzieć, co to za choroba ten kołtun i czy to prawda, że polski lud taki brudny, że nie brzydzi się tak zapuścić i robactwem pokryć głowy? Przykro mi było – ale musiałam ku ich wielkiemu zdziwieniu mówić prawdę. Bo czyż choć jedna wieś znajdzie się na całym obszarze polskim, by nie było parę lub choćby jednego kołtuna? Ten przesąd tak strasznie jest rozpowszechniony, że sama słyszałam, jak nauczycielka wiejska radziła: „chyba kołtun zapuścić, to te oczy i uszy jej się wyleczą“ — a jakże była zdziwiona ta pani, gdy jej tłómaczyłam z oburzeniem, że nietylko nie zapuszczać, ale niszczyć kołtuny trzeba, bo są szkodliwe dla chorego, bo są dowodem brudu i niechlujstwa! bo zeszpecają najładniejszą, najprzyjemniejszą twarz.

Więc kołtuna nigdy nie zapuszczajcie!

Więc wszyscy, co mają kołtun, niech go się zaraz pozbędą!

Żeby się pozbyć kołtuna, co można zrobić zaraz, nawet gdy się jest chorym lub zdrowszym — wszystko jedno — trzeba ogolić do skóry wszystkie włosy i te pozlepiane we wstrętną masę i te, co trochę pozostały bez skołtunienia się.

Wszystkie! potem umyć głowę dobrze ciepłą wodą z szarem mydłem, następnie w odwarze rumianku z 2-ma rozbitemi w nim żółtkami (bez białka), żółtko bowiem najlepiej ze wszystkich tłuszczów rozpuszcza ten brud, właściwy skórze głowy. Jeżeli jest dużo robactwa (wszów), to przed myciem rumiankiem z żółtkami — wytrzeć dobrze zgoloną głowę naftą. Ponieważ za jednym razem nie da się zawsze dobrze oczyścić zapuszczonej brudem głowy, to trzeba jeszcze 3, 4 razy powtórzyć mycie z szarem mydłem – i rumiankiem z żółtkami — n. p. co drugi dzień; gdy włosy zaczną trochę rosnąć — utrzymywać głowę w wielkiej czystości, szczotkując miękką szczotką od włosów — koniecznie codziennie; gdyby włosy powoli bardzo odrastały, pokrapiać głowę codzień czystą wódką i nacierać nią skórę.

Sam przez się kołtun się nie powtórzy, ani tam nigdy nie powstanie, bo to nie jest żadna choroba, lecz brud, niechlujstwo i straszny przesąd, tak rozpanoszony w naszej nieszczęśliwej Polsce, że aż w nauce imię jej przylgnęło do wstrętnego „kołtuna polskiego“.

Dr. J. Budzińska-Tylicka.

OPIS WZORÓW

I ROBÓT, PODANYCH W Nr. 11 „PRZODOWNICY“ 1906.

L. Hałacińska.

Części składowe koszuli damskiej. Koszula damska składa się z kilku głównych i kilku dodatkowych części. Części główne są: stan, rękawy, kliny. Części dodatkowe są: kliny w rękawach, oszewki, karczek lub przyramek, garnirowanie. Miarę na koszulę bierze się jak następuje: 1. Długość stanu od ramienia, aż jak długo ją mieć chcemy. 2. Szerokość koszuli u góry w piersiach i w plecach od jednego ramienia do drugiego. 3. Objętość pachy. 4. Długość ręka-

wów. 5. Objętość szyi lub wycięcie. 6. Objętość w kostce u ręki. Miary 5 i 6 bierze się u koszul nocnych, przy koszulach dziennych robi się zazwyczaj tylko krótkie rękawy. Najlepiej jest wziąć miarę z koszuli starej, biorąc zaś na osobie, trzeba miarę o parę centymetrów powiększyć, gdyż koszula powinna być obszerna i wygodna. Na koszulę średniej wielkości liczy się 2 i pół metra płótna, szerokiego na 75 — 85 cm. Tu zrobimy koszulę całkiem prostą jak na rycinie Nr. 1.

Bierzemy dwa bryty całkiem proste po 1 m. 15 cm., to jest 2 metry 30 cm., zostaje nam 20 cm. na rękawy. Że zaś płótno jest szerokie na 85 cm., więc i jednej szerokości będą dwa rękawy z klinami, jeżeli je uszyjemy i skroimy jak jest 7 i 8.

Odkroiwszy więc te 20 cm. na rękawy składa się płótno na dwie równe części, z których jedna część jest brytem przednim, druga tylnym. Gdybyśmy te bryty tak pozostawili, jak one są, to koszula byłaby u góry za szeroka, u dołu za wązka, trzeba jej więc nadać należyty kształt przez zcięcie i dodanie klinów. Kliny są to kawałki ucięte ukośnie z jednej i drugiej strony długości i kończące się szpiczasto. Taki klin powinien mieć 12 — 14 cm. u jego podstawy, czyli u jego szerokiej strony i ścina się go coraz zwężając aż do połowy, jeżeli ma być klin krótki, lub też do trzeciej części, jeżeli klin ma być długi. Nim się takie kliny odcina, należy je wpierw ostro załamać. Odciąwszy takie dwa kliny po jednej stronie (bo płótno było podwójne) przykładamy je na przeciwną stronę i odcinamy takie same dwa kliny, co stanowi cztery kliny. Teraz mając cztery kliny, odwracamy je do dolnej części koszuli i przyszywamy tak, aby prosty brzeg klina był zeszyty z prostym brzegiem płótna, zaś ukośny brzeg klina z ukośnym brzegiem drugiego klina. Ten sposób nadaje koszuli ładny krój i tworzy kliny krótkie.

Jeżeli mamy płótno bardzo szerokie, możemy ten sam kształt otrzymać, dając kliny tylko dwa i to po jednej stronie. Po przeciwnej stronie utworzą się kliny już przez ścięcie.

Tu mamy stan koszuli; dalsze jej wykończenie zależeć będzie od tego, jak ją chcemy zrobić — z karczkiem, jak rycina 3, lub bez i t. d. Połowa przedniej części karczku jest pod nr. 5, tylna część pod nr. 6. Karczek taki robi się zawsze z podwójnego płótna. Koszule jak nr. 1 odszywa się w szyi wązkim paseczkiem płótna, nie marszcząc koszuli zupełnie. Paseczek musi być tak odszyty, aby w nim można zaciągnąć tasiemeczkę do ściągania i wiązania. Koszule takie są mniej wygodne od zapinanych. Pod nr. 2 mamy koszulę ozdobną i z małymi tylko rękawami, może ona być zapięta na przodzie lub też na ramionach. Nr. 4 przedstawia nam również koszulę prawie że bez rękawów, która może być tak samo zapięta na przodzie lub na ramionach. Koszulę taką kraje się odrazu z całej szerokości płótna; składając bryty na połowę, mierzy się głębokość wycięcia pleców na 10 cm. od brzegu, a 15, 16 cm. od brzegu odległość ramienia, samo ramię 5 — 6 cm. Od ramienia do przodu robi się podcięcie szyi w plecach na 6 — 8 cm. poniżej tego wycięcia robi się wycięcie szyi z przodu; zasada jest, aby koszula była z przodu więcej wycięta jak z tyłu. Pacha czyli rękaw 24 cm. i wycina się trochę łukowato. Na pachę naszywa się kawałek płótna tak, jak idą znaczki. Jeżeli szerokość koszuli pod pachą będzie wynosiła 26 cm., to należy ją zwęzić przynajmniej o 3 cm., a dla lepszego kształtu następnie rozszerzać ku dołowi. Jeżeliby płótno było za wązkie, to można dać kliny.

Majtki damskie. Pod nr. 9 mamy całą formę majtek rozłożoną. Pod nr. 10 złożona na połowę, tak jak powinna wyglądać uszyta.

Miarę na majtki bierze się w następujący sposób: Najpierw mierzymy długość nogi od pasa do kostki a następnie objętość w pasie, która oznacza się w połowie. Jeżeli majtki mają mieć bluzkę, a nie zwyczajny pasek, to trzeba wziąć miarę w biodrach na 10 cm. poniżej pasa. Chcąc narysować miarę na majtki, przeprowadza się linię prostopadłą $a - b$; na której znaczy się miarę długości boku niech będzie $a - c$, potem przeprowadza się zaraz trzy linie od lewej ku prawej stronie, są to linie pomocnicze, długości ich nie oznaczymy. Pierwsza u góry tworzy kąt z punktem a, druga w punkcie d, oznaczającym środek miary długości a trzecią u dołu, tworzącą kąt w punkcie c. Te trzy linie pomocnicze służą jedynie do oznaczenia miary w pasie i szerokości wziętej poniżej bioder, jako też obwodu niższej części łydki. Miarę objętości oznacza się punktem a i oznacza z prawej strony punktem e. Miara objętości poniżej bioder jest połową miary długości b ku, niech więc będzie nią przestrzeń od a do d. Jeżeli długość boku wynosi 90 cm., to 45 cm. będzie dokładna miara objętości poniżej bioder, położymy więc tę miarę na punkcie od d do f. Obwód niższy oznaczony jest na trzeciej linii pomocniczej. Szerokość jego jest dowolna i nie zależna od formy ani mody, lecz tylko od wygody osoby. Obwód ten oznaczony jest punktem od c do g. Przy pomocy tych miar dokładnie oznaczonych rysuje się przód połowy maj-

tek w następujący sposób: O kilka centymetrów od punktu *e* prowadzi się linię prostą aż do punktu *h*, który powinien być w połowie odległości drugiej linii pomocniczej. Od punktu *h* ciągnie się tę linię, cokolwiek ją zaokrąglając aż do punktu *f* na wycięcie. Dalej od *f* do *g* linię ukośną, wklęsłą w środku a prawie prostą u dołu. Linia ta wskazuje stronę wewnętrzną międzynożną i jest ona tak na tylnej jak i na przedniej połowie majtek jednakowo wycięta. Górna zaś tylko część majtek różni się tem od przedniej, że jest i szersza i dłuższa. Znaczymy więc na linii pomocniczej pierwszej o jakie 10 cm. wyżej punkt *i*, stąd prowadzimy linię ukośną aż do *a* na obwód najwyższy i linię krzywą, wygiętą aż do *f* na brzegi tyłu.

Ilość materyi oblicza się w ten sposób, że dwa razy tyle jak długą jest miara, licząc prócz tego na obrąbek i zakładki, jeżeli takowe mają być. Krojąc majtki składa się płótno przez środek szerokości, przykłada się formę wzdłuż składu materyi linią *a—c* i przypina się szpilkami. Następnie kraje się materyę podwójnie, poczynając od *c* aż do *f*. Tu odkładać materyę, aby wykroić drugą połowę zarysu. A następnie dopiero drugą połowę tyłu według zarysu *a* i *f*. Krając według oznaczonej formy zostawia się jeden cm. na szwy. Z tych zaś kawałków, jakie przy wykroj niu odpadają, robimy dodatkowe części: pasek lub bluzkę. Dalej wszelkie skośniki na odszycie i t. p. Gdy już mamy majtki wykrojone, to zszywamy najpierw wszystkie sztukowania, jeżeli takowe być muszą. Następnie zszywa się każdą połowę majtek z osobna od *g* do *f*, podszewkując szew po lewej stronie. Potem obrębia się dół *c—g*, jeżeli ma być obrębiany (garnirowanie majtek zależy od gustu). Dalej zeszywa się razem obie połowy od *e* do *h*, zaś od *h* aż do *f* zostają majtki rozdzielone już aż do *i*. To wycięcie od *h* do *f* aż do *i* obszywa się skosikiem lub też obrębia, obszycie jednak jest lepsze. Mając to wszystko zrobione, wszywa się majtki w pasek, albo podług objętości figury, i wtedy marszczy się je u góry, lub też w pasek szerszy, zwany także bluzką, którą się przyszywa do majtek prawie gładko od boku *a* aż do brzegu *i*, a wtedy marszczy się tylko od *a* do *e*. Taki pasek robi się do ściągania, gdzie przeprowadza się tasiemki od *a* aż do *i*. Jeżeli robimy majtki na osobę tęższą, to trzeba w tyle dodać po parę cm. tak, jak na rycinie 10 jest oznaczone znaczkami.

Nr. 11 fartuszek haftowany. Nr. 12 wstaweczka robotą szydełkową. Nr. 13, 14. 15, 16 hafciki. Nr. 17 chusteczka haftowana. Nr. 18 koroneczka robotą szydełkową. Nr. 19 koroneczka robotą szydełkową i tasiemeczką. Nr. 20 szeroka koronka robotą szydełkową. Prócz tego kilka liter. Litery *P* i *N* bardzo dobrze wyglądają w dwóch kolorach, np. granatowy z pąsowym. Nr. 21 szlak do kapy, serwety lub bielizny kościelnej. Nr. 22 i 23 gwiazdy, szczegóły do fartuszka. Nr. 24 afcik. Nr. 25 i 26 dwie koszule z haftowanemi szyjkami. W następnej tablicy prawdopodobnie dopiero w styczniu roku 1907 podane będą majtki dziecinne i kalesony męzkie, a następnie staniki, gorsety i spódnice. Podajemy tu wzory koszul i fartuszków miejskich, jakie nieraz widzicie na jarmarkach i w kramach, a jeżeli się komu podoba koszula miejska, to niech nie kupuje tandety, ale niech sobie sama uszyje z dobrego materyału.

Przepisów ciast nie podamy w grudniowym numerze, gdyż były podane w latach ubiegłych, jeżeli zaś która z nowych prenumeratorek życzyłaby sobie, to za przesłaniem trzech marek po 5 hal. może otrzymać numer grudniowy z r. 1905 z przepisami ciast wigilijnych.

Wzory haftów, robót szydełkowych, koszul i majtek damskich.

